Nr. 2. Lwów, Niedziela dnia 10. Września 1876 r. **Tom IV.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

II.

O WYSTAWIE PRZEMYSŁOWO-ROLNICZEJ WE LWOWIE.

W roku przyszłym będzie urządzoną we Lwowie wystawa przemysłowo-rolnicza. Komitet, na którego czele stoi Włodzimierz hr. Dzieduszycki, ogłosił już program wystawy, a teraz wydał odezwę, domagając się od kraju należytego poparcia. Idzie głównie o to, że koszta wystawy będą znaczne, i że pieniędzy na ich opędzenie nie można inaczej zebrać jak drogą powszechnej subskrypcji. Czy żądanie Komitetu jest słuszne?

Od lat kilkunastu, wszystkie państwa i narody starają się przypominać sąsiadom i światu, przez wystawy, zjazdy i kongresy naukowe. Na tych wystawach i na tych zjazdach, ludzie z najdalszych krańczyn globu zbliżają się do siebie, poznają i oceniają według wzajemnej wartości. Postęp zyskuje na tem, bo minęły czasy kiedy każdy naród żył w odosobnieniu, uważając ciągłą walkę z sąsiadami, za jedyny środek własnej egzystencji. Celu tak ogólnego, wystawa lwowska mieć nie może, bo Lwów, jest tylko stolicą małej i biednej prowincji, należącej do obcego organizmu politycznego; ale z drugiej strony nikt nie zaprzeczy, że wystawa lwowska może mieć ten sam cel w mniejszych rozmiarach, cel nie tyle ważny dla Europy co dla nas.

Rozbici na trzy części, a nie utraciwszy do tej chwili nadziei, że kiedyś będziemy znowu całość tworzyli, powinniśmy bez przerwy mieć zwrócone oko na naszych braci z Wielkopolski i Ziem pod panowaniem rossyjskiem zostających, powinniśmy jak najczęściej znosić się z dalszą bracią, aby w takiem zetknięciu nabierać otuchy na przyszłość i hartu do dalszej walki. Wystawa rolniczo-przemysłowa, nastręcza potemu bardzo piękną sposobność. Zróbmy ją więc ile możności świetną — a tysiące braci naszych przyjedzie ze stron dalekich.

Kraj rolniczy jak nasz, nie będzie nigdy bogatym, jeżeli nie wyzyska wszystkich zasobów swojej ziemi. Nie podniesie on także kultury własnej gleby, jeźli z ulepszaniem jej stosunków rolniczych, nie będzie szedł w parze taki przemysł, który opierając się na ziemi, ją ulepsza i bogaci. Zróbmy więc wystawę naszą ile możności okazałą, a ze stron najdalszych przyjadą rolnicy i przemysłowcy, od których nie jednej nauczymy się rzeczy, i którzy poznawszy nas bliżej, wejdą może z nami w stosunki bezpośrednie, co w przyszłości przyczyni się do podniesienia dobrobytu naszego kraju.

Sąsiedzi nasi najbliżsi uważają Polaków za naród gnuśny i zacofany, który według ich mniemania nie jest zdolnym do pracy realniejszej. Zróbmy wystawę o ile możności świetną, zbierzmy wszystko co mamy we własnym domu, pokażmy im nasze narzędzia i nasze wyroby — a chociaż im nie dorównamy pod wielu względami, zawsze będą musieli przyznać, że i my pracujemy i my żyjemy.

Mamy dziś sztukę taką, jakiej bądź co bądź w chwili bieżącej nie posiada żaden naród. Postawmy pawilon na placu wystawy, zbierzmy w nim wielkie dzieła naszych mistrzów, a zadziwią się obcy widząc takie bogactwa w tej Polsce, którą dotąd znają ledwie z nazwiska.

Oto powody, które nam nakazują, aby przyszłoroczna wystawa lwowska była przynajmniej o tyle świetną, o ile nas stać na to. Oto powody, dla których potrzeba pieniędzy, i dla tego niech się nikt nie cofa, niech każdy da co może, bo to nie jałmużna, rzucona jednemu miastu, lecz podatek krajowy, od którego nikt się wymówić nie może.

Są obowiązki święte, patrjotyczne, których lekceważyć nie wolno nikomu!

Ponieważ Komitet może zbierać składki tylko po koniec r. b. przeto nie zwlekajmy posyłki pieniędzy — ale dziś, gdy już żniwo skończone, odłóżmy choćby najmniejszą kwotę, i dajmy ją natychmiast, bo kto wczas daje, daje dwukrotnie.

ŻELIGA.

Powieść

JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Do Barcina należały dwa jeszcze folwarki, Miękoszki i Sroczyn, i trzy wsie roboczym ludem zasobnym i pracowitym osiadłe. Gospodarstwo nie było nazbyt wyszukane, ale dosyć zapobiegliwe i staranne. W Barcinie wśród starych olch stał dwór zbudowany jeszcze przez dziada p. Marcina, drewniany, na podmurowaniu, ale bardzo porządny. Oprócz tego była oficyna stara z dawniejszego przerobiona dworu i zabudowania rozległe i piękne. Folwarki wszystkie w dobrej glebie, pszenicy siać było można ile chcieć, byle trochę podsmarować, a oprócz zwyczajnego dobytku, Barciński kochał się w stadzie, i stadninę też miał bardzo piękną, słynącą wówczas na kilkadziesiąt mil w kraju. Konie te wszystkie pochodziły podobno od jakiegoś stadnika, którego był pradziad jegomościa przyprowadził chudego i skulawionego z pod Wiednia. Miała to być wedle tradycji szkapa cisawa, niepokaźny dla pospolitego człowieka, ale w którym Barciński krew poznał i kupił go kulawego, wychudzonego, na pół żywego od jakiegoś rajtera. Potem go do swojego wozu przywiązawszy, z wielkim kłopotem ledwie do domu dowlókł, bo konisko w drodze coraz gorzej kulało. Ale też dopiero gdy koło niego pochodził. wyleczył, okazał się prawdziwy ogier dziwnej piękności, ognia wielkiego, ba i młody jeszcze wcale. Zęby ledwie na lat siedm pokazywały. W nodze też nic tak strasznego nie było, tylko kopyto srodze obrażone, które gdy odrosło, koń się wystał, odpasiono go, wyczyszczono, postrzyżono, wymyto, zdumieli się wszyscy, kiedy im po raz pierwszy Barciński wypro-

wadzić kazał. A był koń ów tak rozpieszczony, tak przywykł do swojego pana, że jak dziecko za nim chodził bez uzdy aż do izby, głos jego poznał, rżał ino go zasłyszał z daleka i lizał po twarzy gdyby pies. Gdy go dosiadł, bo to był jeździec zawołany, to go nosił jak niańka dziecię ukochane, czuć nie było że się porusza, choć wiatry przeganiał, ino mu było cugle rzucić na kark. Ale obcemu doń się przybliżyć albo go próbować dosiąść nie łatwo było: stawał się dzikim i tak kąsał, że jednego z masztalerzy, który go był w złości potrącił, omal na całe życie nie uczynił kaleką.

Otóż z tego to stadnika, o którym dotąd jeszcze cuda rozpowiadano, a który żył lat dwadzieścia i kilka, po różnych niezgorszych matkach, poszło potem całe owo sławne stado Barcińskich, w którem cisawa szerść przemagała.

Trafiały się w niem takie konie, że je po dwieście i po więcej czerwonych złotych płacono, nie dziw też, iż w Barcinie około tego stada chodzono bardzo zabiegle, a pilnowano go może staranniej niż innego gospodarstwa; Barciński sam bardzo lubił konie.

Do tego Żeliga dziwnie się nadał panu Marcinowi, bo był znawca koni jakich mało: ledwie spojrzał, poznał zaraz w każdym krew, pochodzenie, ledwie nie naturę na pierwsze wejrzenie. Widać, że to był dawniej mąż rycerski i wielce doświadczony miłośnik koni. W wypadkach kalectwa, choroby, czy wąsacz napadł, czy odęcie, czy krew, natychmiast środek miał łatwy i prędki, aby zwierzęciu ulżyć. Ale mimo to choć nie stary, konia nigdy nie dosiadł.

Pyta go tedy raz p. Marcin:

— A toż Waszmość musiał dawniej dobrze na koniu jeździć?

— No, nieźle — odparł Żeliga.

— A teraz że nie bierze ochota?

Ten oczy spuścił i westchnął.

— E! — rzekł z cicha — dajcie pokój... teraz wolę nie próbować... swojego człek konia nie ma, a na cudzych nie zwykł był jeździć...

Tymczasem zebrało się sąsiadów trochę do p. Marcina na S. Zofję, bo samej pani imię było Zofja, choć ją mąż Zońką i Zonią i Sonią przezywał z czułości. Więc po objedzie i po miodzie, wyszli wszyscy na ganek i nuż się końmi chwalić, okazywać, przejeżdżać, handlować, czynić popisy, jak to był zwyczaj szlachecki. Osobliwie też koniarz rzadko do domu temi końmi powrócił któremi wyjechał.

Stał sobie pokornie w ganku i Żeliga, ale poglądał milczący, mało się co do tego mięszając, bo był przy gościach mniej jeszcze śmiały niż za zwyczaj. Jęli tedy jedni z wozów wyprzęgać szkapy i handlować niemi a dobierać, drudzy ścigać się a gonić to kłusem w koło dziedzińca, to kroczą, to w cwał, osadzając w miejscu. Przyszła też kolej i na gospodarskie konie, a miał tę słabość p. Marcin, że się ze swojemi bardzo popisać lubił. Stadninę i stajnię miał, nie ma co powiedzieć bardzo ładną, jak na szlachecką, aleć znowu tak je cenił, że dlań na całym świecie drugiej takiej nie było. Wybaczyłby był chętnie, bo człek był dobry i serca miękkiego, gdyby kto co jemu zarzucił, ale koniowi... nigdy. Unosił się, gniewał strasznie i końskiej krzywdy nie darował. Wiedzieli o tem wszyscy, że z najbliższym sąsiadem, który jednego z ulubionych jego koni, kłapouchem nazwał, bo miał uszy przedłuższe, zupełnie żyć przestał i sam go też inaczej odtąd nie nazywał tylko — ten kłapouchy.

Otóż kiedy się tak popisywać zaczęto, powiada niejaki p. Bogusz do p. Marcina (był to szlachcic, który chodził po dzierżawach i zastawach.)

— No! już to co konie, to konie, u waszmości, ale co prawda to nie grzech, że one wszystkie ile ich jest kłusa nie mają, zaraz każdy zrywa się cwałem... a tak wyciągniętego, dobrego co się zowie kłusa, nie pójdzie żaden.

— O! o! o! co waćpan pleciesz — zawołał zrywając się p. Marcin — moje konie kłusa nie mają?... A no chcesz spróbować, każę wyprowadzić siwego...

— Którego chcesz — rzekł Bogusz,

Siwy był wałach piękny bardzo, pod wierzch jeżdżony, koń co się zwie, zbudowany jak pod husarza, tylko lewą zadnią nogę miał do kolana białą i to go nieco szpeciło. Gdyby też nie ta noga, byłby stadnikiem pewnie, bo piersi, szyję, łeb, oko miał tak udatne, że choć go było malować.

— Okulbaczyć siwego! — wołają.

W mgnieniu oka podprowadzili go pod ganek, Bogusz też szkapę swoję przyprzężoną, niepokaźną, chudawą, w czarnem ścierwie, kazał osiodłać, bo w wózku zawsze siodło woził. Poszli na wyprzódki kłusa. Dosiadł swojego konia pan Marcin, ale nieszczęście chciało, że Bogusza szkapa tak kłusowała potężnie, iż siwy jej wydążyć nie mógł. Powrócili do ganku, a p. Marcin tak zgryziony, taki chmurny, że gdyby mu najlepszy koń zdechł, nietyleby może był bolał. Spojrzał nań Żeliga i zmiarkował widać że Barcińskiemu nie tyle o siebie szło i reputację jeźdźca, co o dobrą sławę stada. Ozwie się tedy po cichuteńku:

— Z przeproszeniem waszem, panie stolniku — a był naówczas stolnikiem Barciński — nie koń to winien, ale może wy sami.

— Jakto? ja? — ofuknął się pan Marcin.

— Nie gniewajcie się tylko, jesteście doskonałym jeźdźcem, nie przeczę, ale za gorącoście się wzięli do konia. Koń czuje człowieka, rwał też sobie.

— No potraficie lepiej?

— Lepiej nie, ale wziąwszy się powolniej — rzekł Żeliga — ręczę, żebym p. Boguszowego konia zostawił za sobą.

Pan Bogusz począł się z Żeligi śmiać i przedrwiwać.

— A no! a no! toć służę i jeśli chcecie, pięć czerwonych złotych w zakład stawię.

Mrugnął Żeliga na p. Marcina, aby nie kazał koni odprowadzać, poszedł do oficyny, przyniósł pięć obrączkowych, położył na ławie w ganku.

— No a teraz,—rzekł trąc czuprynę—sprobujemy się... Zebrał lejce, nie tknąwszy prawie strzemienia skoczył na konia, ale tak jakby z siebie dwadzieścia lat zrzucił, zdawało się, że odmłodniał.

Gdy go zobaczyli na koniu ci, co go jeszcze dotąd nie widzieli nigdy na kulbace, nie wyjmując p. Marcina, wszyscy się zdumieli. Inny był człowiek, ani go poznać, wyprostował się, wyrósł, spoważniał razem, rzekłbyś, że hetmanić jechał wojsku, tak mu z oczów błyszczało jakimś ognistym wodza wzrokiem; koń poczuwszy jeźdźca i rękę poszedł zaraz inaczej, jak posłuszna dziecina.

Bogusz zobaczywszy co się święci, jużby był może rad się cofnąć, ale go jakoś wstyd wziął, zaczął tedy junaczyć sobie i żartować myśląc że tamtemu fantazję odbierze.

Ledwie staje odsadzili się od ganku, jak się siwy wyciągnął, jak począł iść, tak Boguszowa szkapa w galop, bo była siarczyście gorąca, ten ją po łbie, ta jeszcze gorzej, dosyć że w dziesięć minut zakład został zwycięsko rozstrzygnięty i honor stada ocalony. A owych pięciu kulfonów, które Bogusz dobyć musiał rad nie rad z mieszka, Żeliga ani tknął, oddał je masztalerzowi.

Bogusz nań spojrzał z podełba i potrząsł głową.

— Oj to... ptasio!—szepnął po cichu— oj to ptasio!...

Ale na tem się skończyło.

Jak go później p. Marcin i ściskał i całował, jak mu dziękował, wypowiedzieć trudno; bo istotnie chodziło o honor koni, a gdyby się raz była fama rozeszła, że tej krwi konie kłusa nie mają, byliby je ludzie łacno sponiewierali. A w koniu kłus dobry to wszystko: mała rzecz gdy stąpa idzie porządnie, gdy kroczą ruszyć umie, choć to chód nie rycerski, gdy cwałuje i szybki jest a pewny w nogach rozbiegawszy się, ale kłus to chleb powszedni, tyle konia, ile kłusa: stępą nie daleko zajdziesz, cwałem także w wypadku się salwujesz chyba, a kłusem po wsze czasy i koło roli, i w podróży i na wojnie koń iść musi, bo to jego chód przyrodzony. Szkapka żeby najlepsza, gdy nie wykłusowana, kaleka.

Gdy się goście rozjechali, przyszedł do Żeligi p. Marcin.

— Mój dobrodzieju! cóż to ci się stało to ty konno jeździesz jak dwudziestoletni chłopak, czemużem ja o tem dotąd nie wiedział?

— Ale bo to wszystko przypadek — odparł stary — trochem się podpalił, no... i szczęście miałem, i siwy koń to taki dobra szkapa.. o dobra!

— Więc jeśli ty mnie kochasz, Żeliniu, — zawołał ręce składając p. Marcin, weź ty sobie tego konia.

— Co znowu? a mnie on na co? — zapytał obcy —żebym mu musiał owies kupować i masztalerza najmować, albo go na waszej łasce trzymać, nie dość że sam na niej siedzę? bo juzcić go nie sprzedam.

— Ale ja ci go do zdechu trzymać będę... zakrzyknął Barciński.

— A cóż mi po nim?

— Toćbyś się czasem przejechał do Chełma, kiedy teraz pieszo chodzic musisz.

— Gdybym jeździć chciał, tobyście mi konia nie pożałowali, odparł Żeliga, ale nie... przyznam się wam szczerze, postanowieniem sobie takie uczynił, aby się od konia wstrzy-

mywać... ot! mam moje dziwactwa. I zmydlił jakoś spuszczając oczy.

Chciał Barciński, w grzeczny sposób nagradzając przysługę, konia darowanego potem odkupić niby, ale Żeliga się obraził i znać było, że go to zabolało, więc już p. Marcin dał pokój.

Nie pierwszy to raz spostrzegł gospodarz, iż gość jego o grosz wcale nie dbał, a widać go nie potrzebował. Było około niego ubogo dosyć, rzeczy mało, oszczędność jednak jakaś, jakby nie szczera i dla oka, bo po kątach dowiadywano się nieraz, że dał po pańsku, szczególniej czeladzi.

A ta zwąchawszy, że dobrym był, często gęsto mu się do kieszeni nastręczała.

Raz pod niebytność p. Marcina na przednowku jakoś, gdy o grosz najtrudniej, przyjechał szlachcic, któremu się zaległy procent od pięciu miesięcy należał. Szlachcic ów mieszkał aż pod Kowlem, nie łatwo mu się było wybrać w podróż drugi raz, a spieszył z powrotem, bo mu ktoś w drodze powiedział, że słyszał jakoby w jego okolicy bydło strasznie padać zaczęło. Pani Marcinowej brakowało jak na toż pieniędzy, posłała do Moszka arędarza, ten znowu nieszczęściem wyruszył był do Włodawy, i sumka była znaczna, bo za lat kilka do pięćset złotych się przyzbierało. Poili i karmili wierzyciela w oficynie, wyglądając pana Marcina, ale szlachcic się codzień gorzej niecierpliwił i wyrzekał; Marcinowa gorąca kobieta aż spać ni jeść nie mogła.

Wieczorem przychodzi Żeliga z polowania, zastaje ją po izbie latającą, zburzoną całą.

— Co pani dobrodziejce takiego?

— A toć się domyślać musicie, że mi ten szlachcic choroby przyczynił.. ja tu z nim zwarjuję. Mały dłużek, a wielkie strapienie... Dosyć tego, żeby mi trzy razy w dzień przyszedł, stanął u drzwi i zapytał cienkim głosikiem: kiedyż p. Marcin powróci... Od tego jednego licho weźmie... Gotowabym trzewiki sprzedać, a oddać należytość... tak mi wstyd.

— Ale moja dobrodziejko — rzecze Żeliga żywo—trzebaż mi było zaraz pierwszego dnia powiedzieć, toćby się może rada znalazła... ja tam mam w Chełmie znajomych...

— Toć i my ich mamy, kiedy goli...

— E! to jużby człek i sam węzełki porozwijawszy coś znalazł — rzekł Żeliga— wieleż to tam tej biedy? co jejmości brak?

— Co mi brak? ba! ba! trzysta złotych mój drogi, to nie żart.

— No! no! jeśli tylko trzysta, to ja moje pogrzebowe rozpieczętuję, pójdę do oficyn i przyniosę.

Pani Marcinowa o mało go nie pocałowała; jak rzekł tak się stało, pobiegł do swojej izby i w tej chwili owe trzysta złotych przyniósł złotem obrączkowem i talarami bitemi.

Zdziwiła się niepomało gospodyni, dziwił się Barciński potem wróciwszy.

Gdy mu je p. Marcin pospieszał oddać, Żeliga odrzekł:

— To nie pilno, wszakże nie uciekam, ani umierać myślę; oddacie później.

Choć go już wprzód szanowali pp. Barcińscy, teraz nie wiedzieć dla czego jeszcze w większem go mieć poczęli poszanowaniu, bo u ludzi tak zawsze grosz w kalecie i mizernemu człowiekowi wagi dodaje.

— To jakaś doprawdy zagadka, ten nasz poczciwy Żeliga — szeptał potem jegomość do żony, — nie pierwszy raz dał mi do myślenia, że gruby grosz mieć może.

— Waćpan nie uwierzysz, serdeńko moje, — dodała żona — jak on honeste ludzi obdarowuje i tego kozaka Sawkę, co mu posługuje czasem, tak oporządził i opłaca, że najbogatszy pan nie mógłby lepiej.

— W tem jest bo jakaś tajemnica — mówił Marcin — to nie pospolity człek.

— W roku przeszłym — przerwała żona — gdy tu do nas ze mszą św. przyjechał Reformat, dał mu w sekrecie na nabożeństwo żałobne za duszę Elżbiety, Jana i Karola, złotych dwieście obrączkowemi dukatami, aż się u mnie ojciec Kalikst dopytywał co to za jeden.

— Tak, tak — powtórzył swoje gospodarz—zauważałem ja to od dawna, że to nie jest lada włóczęga i hołota... Bóg wie co to takiego jest... czy dziwactwo, czy jaki go też wypadek kryć się przymusza... nie godzi się może w tem szperać, ale coś jest, coś jest... Bo znowu pieszo przybył, mając grosz, o niczem nie myśli dalej... a człek coby i rozumem mógł się go dorobić, gdyby chciał... taż to jak z nieba spadł dla Justysi naszej... czego on jej nie nauczy!

Justysia była to śliczne dziecię, jedyna córka Barcińskich, do której w istocie Żeliga przywiązawszy się bardzo, jakby madame jaka lekcje jej regularnie dawał — ale o tem niżej będzie.

Barcińscy oboje choć się czegoś domyślali, postrzegłszy, że byle zaczepić go o przeszłość, chcieć dopytywać o życie, o stan, o rodzinę, zaraz posępniał i zamykał się w sobie, niekiedy nawet w pole uciekał i nie rychło się pokazał potem, poszanowali nieszczęście i milczeli. Ale w sąsiedztwie nie mając co robić, nieraz niestosowna wymyślano o nim baje.

Szczególniej go śledził, choć potajemnie, o miedzę tylko mieszkający niejaki Achinger, herbu jak wiadomo, Wiewiórka, wywodzący się od Achingerów Holzackich, a potomek onego Zybulta, który był na Rusi pierwszy się usadowił. Tym Achingerom Rudolf cesarz za ich zasługi przekształcił rodzinny herb Wiewiórkę, dodając doń wieżę i rycerstwa na hełmie, z czego się dosyć chlubili. A byli to ludzie bystrego umysłu wszyscy. I ów też, co sąsiadował z Barcińskimi, miał nie mało przyrodzonego dowcipu, ale że go była natura upośledziła, bo był na jednę nogę nieco kulawy, i z lica szpetny, więc się mścił na rodzaju ludzkim nieco lepiej wyglądającym, a zgryźliwym i szyderskim stał się nad miarę, zwłaszcza gdy postarzał, a żadna niewiasta, choć bogatego kuternogi nie chciała za męża. Zwano go też poufale kuternogą, a niekiedy i przyjaciele w żarcie pozwalali go w oczy tak mianować.

Achinger złym tak człowiekiem nie był, ale kwaśnym, a że próżnował, więc go ludzie niepotrzebnie, a do zbytku zajmowali. Nikt z całego sąsiedztwa lepszych nad niego wiadomości nie miewał, bo też mu je wszyscy znosili wiedząc, że był ich ciekawym, i on sam z pajęczyny sobie nieraz płótno wytkał, tak był srodze uważającym i niezmiernie przenikliwym. Bano się go jak ognia, ale z tem źle mu nie było, bo też ten i ów ugłaskać pragnął, aby się na szorstki język nie popaść. Achinger pod ten czas był już dobrze kawalerem, ale młodości za wygrane nie dał, a złe języki utrzymywały, że nie mając miru po pańskich dworach, do Nastek i Parasek z cicha koperczaki stroił.

Zaraz gdy Żeliga przybył, a Achinger go zobaczył, obejrzał, rozgadał się i dowiedzieć do gruntu nie mógł, co to był za jeden, markotno mu się zrobiło. Począł pana Barcińskiego jątrzyć że nieznajomego tak łacno do domu i poufałości przypuścił, z czego ten się tylko śmiał, ruszając ramionami: potem go żgał nieustannie prześladując, że w takiej nieświadomości żyć może, naostatek sam się uwziął coś koniecznie dójść o Żelidze, ale na tem sobie zęby ścierał próżno, co go z każdą chwilą bardziej drażniło. Niezrażony wszakże, na każdy krok jego czatował, i najdrobniejsze plotki o nim zbierał. Z tego jednak wszystkiego ścisnąwszy dobrze nic wydusić się nie dało.

— Ale poczekajcie — mówił Achinger — pomaleńku, pomaleńku, taki ja się tam czegoś domyślam.

Tak się to w zawieszeniu zostało.

Żeliga zresztą wyjąwszy to dziwactwo i milczenie o sobie uparte, człowiek był choć do rany przyłożyć. P. Marcin powtarzał przy nim i bez niego:

— Błogosławię ten deszcz, co mi go tu zatrzymać pomógł, i dzień i godzinę co go tu przyniosła.

Od Barcina do Chełma było dobrej półtora mili po dosyć górzystej drodze, w większej części lasem idącej, więc choć w Barcinie było oratorjum i najczęściej ksiądz rezydował na kapelanji jednego z sąsiednich klasztorów, Żeliga widać nabożny będąc wielce do obrazu Matki Boskiej, często do miasteczka chadzał pieszo. Czasem i pół dnia i dzień nawet cały spędził tam na nabożeństwie. Państwu Marcinostwu aż tęskno bywało po nim i chcieliby mu oszczędzić przykrej wędrówki, obawiając się aby w drodze czasem nie miał jakiego przypadku, ale na wózek i konia namówić go nie było podobna. Ująwszy kostur w rękę, szedł sobie z różańcem takim żwawym i spiesznym krokiem, że się mało kto z nim zejść potrafił.

Jak skoro wpadł do miasteczka, już tam nikt nie odkrył ani co robił, ani gdzie się podziewał. Raz zdarzyło się, że pani Marcinowej wypadło jechać do Chełma na nabożeństwo i po małe sprawunki na święta; chciała z sobą zabrać Żeligę, bo cały tam dzień miała przepędzić. Wcześniej jednak jeszcze niż się ona wybrała, nie wiedząc o wyjeździe, pieszo ruszył Żeliga. Dziwiła się pani Marcinowa nie spotkawszy go nigdzie po drodze, ale domyśliła się że przez las krótką ścieżkę obrał; nie widziała go też ani w kościele, ani mogła odszukać w miasteczku, choć wcale wielkie nie jest. Była więc o niego bardzo niespokojną, ale gdy mrok nadszedł, a znaleźć go nie było podobna wróciła sama do domu. Dopytywano go potem gdzie był i co przez cały dzień

*

robił, Żeliga pół żartem, pół serjo niby się ze wszystkiego wytłumaczył, Achinger wszakże przytomny tej indagacji wypadkiem kiwnął głową i dowodził, że coś innego było w tem wszystkiem. Nikt też go tak nielitościwie nie szpiegował jak on.

Wpłynął nawet podejrzliwością swoją na państwo Marcinostwo, którzy poczuli się trochę obrażeni, że jakieś tajemnice tak starannie przed nimi ukrywał, ale go tak kochali, że mu nawet mówić nie śmieli. Kilka tak razy do roku w sposób nie wytłumaczony znikał na dni parę i powracał albo smutniejszym albo weselszym, zawsze pomięszanym nieco, zwłaszcza gdy go się pilniej o to, gdzie był co robił dopytywano. W końcu już musiano udawać, że się tego nie spostrzega. (C. d. n.)

O wrażeniach zmysłowych

przez

Dr. Juljana Ochorowicza.

I.

Stara to prawda, że wszystkie rzeczy na świecie wzajemnie od siebie zależą, oddziaływając jedne na drugie. Ziemia nasza w całości wzięta zależy od reszty systemu słonecznego, wszystkie ciała na jej powierzchni znajdujące się zależą od niej; świat roślinny od mineralnego; zwierzęcy od mineralnego i roślinnego; ludzki od wszystkich trzech razem wziętych, i wreszcie każda jednostka zależy najściślej od otoczenia społecznego i rodzinnego w którem żyje.

Ale rodzaj tej zależności nie jest bynajmniej jednakowym. Przedewszystkiem łatwo zauważyć, że postępując od minerału do człowieka, widzimy raczej wzrost swobody, niż zależności. Świadczy o tem sama władza przenoszenia się z miejsca na miejsce i zajmowania coraz to większych przestrzeni. Oddziaływanie czysto fizyczne lub chemiczne w minerałach, staje się w roślinach już pewnego rodzaju wrażliwością na promienie światła lub stan atmosfery; nadto rośliny posiadają już władzę utrwalania swego rodzaju, przez przenoszenie się pyłków nasiennych; zdobywania sobie większego pola i wyzyskiwania go dla rozwoju gatunku — czego minerał nie posiada. Zwierzęta posiadają nadto władzę samowolnego ruchu i wyższy stopień wrażliwości, pozwalający im nie tylko gatunek ale i jednostkę ochraniać od niebezpieczeństw przy pomocy władz umysłowych. Wreszcie człowiek najmniej zależy od przestrzeni, wybiera ją dowolnie, nie potrzebuje wyłącznie uchylać się od niebezpieczeństw otoczenia, lecz znajduje na nie środki ochronne, pozwalające mu stawiać im czoło zwycięzko; sam je przerabia do swych celów i w tem znaczeniu, istotnie panuje nad przestrzenią i czasem.

Widzimy więc, że w tym łańcuchu istot swoboda jednostkowa wzrasta. Ale jeżeli wzrasta swoboda, czyli władza oddziaływania na otoczenie, to z drugiej strony zmienia się także i samo działanie otoczenia, pod wpływem gruntu, na który jest skierowane. I tak: promień światła jeden i ten sam padając na różne ciała, rozmaicie działa: padając na kamień, oświetla go tylko; padając na roślinę, sprowadza różne zmiany chemiczne w jej liściach i powoduje wzrost; padając na zwierzę obdarzone wzrokiem, razi mu oczy i zmusza do uchylenia się; w człowieku wreszcie obudza nadto chęć poznania go, chęć dowiedzenia się zkąd pochodzi, budzi uczucia estetyczne lub rozmyślania naukowe.

Wzięliśmy oczywiście przykłady krańcowe. W naturze nie stanowią one działów, lecz tylko stopnie, stopnie przechodzące nieznacznie jeden w drugi. Niemniej jednak pozostaje widocznem, że w szeregu istot coraz to doskonalszych, działanie otoczenia staje się coraz bardziej *zawiłem* w swych skutkach.

Pominąwszy świat mineralny i roślinny, i przechodząc wprost do zwierząt i ludzi, przekonamy się, że zawiłość ta w działaniu otoczenia coraz to szybciej wzrasta. Im wyższym jest sam organizm, tem też różnorodniejszemi okazują się działania otoczenia. Z grubych mechanicznych wpływów na całą masę ciała w kamieniu w roślinie wyradzają się już działania szczegółowe na pewne tylko części, jak np. działanie światło na chlorofil czyli barwnik zielony w liściach; w zwierzęciu wpływ ten jeszcze bardziej się specjalizuje od *chwili ukazania się najprostszych choćby zawiązków systemu nerwowego.* Od tej chwili działanie mechaniczne lub chemiczne tylko, staje się *nerwowem.* Pobudka zewnętrzna wywołuje już nie ruch zwyczajny, lecz *odruch nerwowy,* subtelniejszy i bardziej umiejscowiony. Nareszcie obok wrażliwości na dotknięcia wytwarza się wrażliwość szczegółowa na inne rodzaje bodźców, w różnych *środkach zmysłowych.* Wtedy to działanie otoczenia na nerwy staje się *wrażeniem zmysłowem.* Nitki nerwu wzrokowego odbierają tylko światło — nitki słuchowe — tylko dźwięk, smakowe — tylko smak itd. W człowieku rozwój ten osiąga najwyższy swój stopień, i stajemy wobec wszechświata nie jak martwy kamień, nie jak słabo ożywiona roślina, lecz jak istota doskonalsza, dla której otoczenie jest olbrzymim obrazem barw i cieni, dźwięków i szmerów, wyraźnym w szczegółach, nieskończonym w całości.

Wyobraźmy sobie z jednej strony człowieka, z drugiej wszystko to, co go otacza. Między temi dwoma biegunami istnieje stałe i wzajemne oddziaływanie. Działanie otoczenia może być dwojakie: jedno wspólne zarówno dla wszystkich ciał żywych i martwych i obejmujące całość naszego organizmu, jak np. działanie powszechnej siły ciężkości, działanie ogólnego stanu temperatury i powietrza, z drugiej wpływy umiejscowione i objawiające się tam tylko, gdzie istnieją nerwy, i te to wpływy zewnętrzne nazywamy *bodźcami.* Bodźcem będzie więc dla oka promień światła, dla ucha drganie powietrza, dla skóry dotknięcie obcego ciała itd. Stan zaś odpowiedniego nerwu przez bodziec wywołany i przenoszący się do mózgu nazwiemy *wrażeniem.*

W tej chwili zajmie nas tylko ten ostatni rodzaj działania otoczenia na człowieka. Ażeby jednak zdać sobie sprawę z ogólnej roli nerwów w życiu naszem, musimy przedewszystkiem ułatwić sobie pracę przez podział.

Podział wrażeń może być bardzo rozmaity, w miarę tego z jakiego stanowiska patrzeć na nie będziemy. Przedewszystkiem zaś, ponieważ mamy tu dwa bieguny: *człowieka i otoczenie,* podział więc będzie różnym w miarę tego, czy zwrócimy główną uwagę na jeden czy na drugi z biegunów.

Zacznijmy od otoczenia.

Wrażenia zmysłowe ze względu na ich źródło, a więc ze względu na bodźce, mogą pochodzić z dalszej lub bliższej przestrzeni, a więc:

1) Od ciał niebieskich; tu należą wrażenia wyłącznie wzrokowe.

2) Od dalszych punktów ziemi; te mogą być wzrokowe lub słuchowe.

3) Od przedmiotów niedalekich; tu należą oprócz wzrokowych i słuchowych jeszcze wrażenia zapachu.

4) Od przedmiotów przytykających bezpośrednio do powierzchni ciała; tu należą wrażenia smaku i dotyku, temperatury, wilgoci itp.

5) Od wnętrza naszego własnego ciała np. od mięśni, od przewodu pokarmowego, od różnych gruczołów itp.

Ale podział taki jest dla nas małej wagi. Jest on powierzchownym, ponieważ mięsza wrażenia podobne w jednej grupie. Tak np. w trzech pierwszych kategorjach występują wrażenia wzrokowe łącząc się z innemi.

Dla nas nierównie ważniejszym jest podział ze stanowiska podmiotowego; ze stanowiska człowieka, który wrażenia odbiera. Z tego zaś punktu widzenia, musimy je podzielić przedewszystkiem według rodzaju zmysłów, tj. według tak zwanej *jakości* samych wrażeń.

Zaczniemy w kierunku odwrotnym, tj. od tych wrażeń, które z wnętrza naszego ciała pochodzą, a więc najbliższe mają źródło.

Tu należą przedewszystkiem najmniej jasne, najbardziej zmienne i najtrudniejsze do określenia wrażenia.

1. Wrażenia niedające się umiejscowić.

Tu należy czucie ogólnego ciepła lub zimna wewnątrz ciała, różnego rodzaju mdłości i w ogóle te stany, w których powiadamy, że nam jest „niedobrze,“ nie umiejąc bliżej określić ani miejsca ani przyczyny przykrych wrażeń. Wrażenia takie powstają albo wprost w skutek chorobliwego stanu ciała, czy to naturalnego, czy też sztucznie sprowadzonego przez wpływy fizyczne z zewnątrz np. po zażyciu nadmiernej ilości trunku — albo też, i to najczęściej, są następstwem uprzednich wpływów moralnych, zmartwień i wzruszeń, które na wszystkie sprawy żywotne oddziaływają.

Wpływy moralne wystarczają nawet często do wywołania takich wrażeń natychmiastowo. Słuchając opowiadania o jakiemś niebezpieczeństwie, o szlachetnym czynie poświęcenia, albo jakiejś mowy energicznej, która śmiało wyrzuca winnym nieuczciwość, doznajemy owych nieokreślonych wrażeń, którebym nazwał *zwrotnemi,* ponieważ są tylko *odbiciem* stanu moralnego, a które określamy najczęściej mówiąc: „dreszcz mnie przejmował,“ „cierpłem na myśl,“ „robiło mi się zimno lub gorąco“ itd. Wrażenia te czysto zmysłowe łączą się najściślej ze stanami czysto moralnemi: niepokoju, nadziei, uwielbienia itp. ale musimy je od nich odróżniać jako zwrotne wrażenia zmysłowe z różnych stron ciała pochodzące. O ile dotychczas wiadomo, pośredniczą w nich głównie nitki i zwoje *nerwu sympatycznego,* rozrzucone niesystematycznie po całem ciele. Podrażnienia tych nerwów mają właśnie to do siebie, że przez brak porównania nie możemy ich dokładnie umiejscowić. (C. d. n.)

Z podróży po wyspach Oceanji.

Listy

Jana Kubarego.

(Ciąg dalszy.)

Dla rozmaitości w zajęciach przeplatałem podobne wycieczki innemi pracami. Najczęściej

fotografowałem ciekawe typy krajowców i charakterystyczniejsze okolice i miejscowości, poczem robiłem wycieczki we wszystkie kierunki wyspy z przenośnym aparatem fotograficznym. Innym razem uskuteczniałem gipsowe odlewy z żywych twarzy kanaków, za co byłem zmuszony grubo im płacić.

Po każdej z podobnych wycieczek robię dokładne notaty, a po polowaniu zaznajamiam się z moją zdobyczą; opisuję okoliczności i sam okaz, nakoniec preparuję skóry z ptaków i w blaszane pudła pakuję, aby przy sposobności przesłać do Europy, do Muzeum p. Godeffroy w Hamburgu.

Zawód naturalisty jest pełen nowych, a więc ściśle skreślić się niedających powabów. Na tle bogatej, pięknej, swobodnej natury, wszędzie uderzającej ogromem, zachwycającej harmonją, nęcącej prawdą, maluje on swe obrazy barwami codzień nowych, świeżo odkrywanych prawd. Czyta w księdze bez końca, każda przeczytana karta jest nową, uzdalnia i zachęca go do czytania następnej i tak dalej, aż śmierć przerwie czytanie i następcy dalej powaby tej księgi odkrywają.

Innym razem zbrojny w obcęgi, flaszki, czerpaki, świdruję po tych samych borach, ale teraz wietrzne śpiewaki mogą być spokojne, dzisiaj ziemia płaci mi daninę. Tutaj z pod spruchniałego pniaka wyciągam jadowitą scolopendrę, lub przeczołgającego chwytam enygrusa i inne węże.

Krajowcy boją się mnie; raz złapanego węża brałem bez obawy w ręce, wąż, ich bożek którego czcąc boją się, o czem później, wcale mnie nie gryzł. Czasami wprawdzie zostałem karcony; enygrus szczególniej często zatopił swe zęby w mem ręku, lecz cóż to znaczy, jest wąż więc gryzie, i to tylko czasami, kiedy się broni od krzywdy, a są na to leki i sposoby; są ludzie i wiecznie gryzą, a nie ma środka na takie rany.

Czasem znów paprocie z pełnemi tajemnic kwiatami wabią mnie do lasu, a zawsze po takich ekskursjach wracam wesoły i pouczony.

Polem przeważnie mi zdobycz dostarczającem jest Ocean i jego ryfy. Cóż za obfita rozmaitość! Gdyby sto żyć ludzkich było minutą mego życia, to jeszczebym nie był w stanie objąć ogółu istot zaludniających morze, ba! tylko małą jego część, np. nadbrzeże ryf.

Pierwszemi ofiarami Oceanu są ryby. Jakaż ich masa, jak przeróżne, dziwne ich postacie i barwy. To płaskie jak papier, to okrągłe jak kula, to wyciągnięte jak sznurek, lub czworoboczne, poczwarnie dziwne. Tęcze topiące się od wieków w Oceanie muszą barwić tych mieszkańców toni, gdyż trudno słowem je malować.

Przy najusilniejszej chęci i zdolnościach, jak najwierniejszy rysunek jest karykaturą ledwie wyobrażenie dającą. A cóż za roskosz, gdy pochylony nad krawędź łódki, wgłębiam me oko w lazurową przepaść i przyglądam się tym istotom pryskającym życiem w swoim żywiole. Lecz i tu zachwyt jest tylko prywatnem uczuciem, nauka i tutaj śmierć rozszerzać nakazuje. Wędka, dzida, sieć niosą spustoszenie, na szczęście w małych tylko rozmiarach.

Często spędzam noc na morzu, drżąc z uciechy gdy czasem kilkunasto funtowa ryba zawiśnie na zdradliwej wędce. Jakże miłe uczuwam owe szarpnięcie, owe wyprężenie się liny, z jakąż obawą i ciekawością wyciągam moją zdobycz. Często jednak uciecha jest przedwczesną. Już głowa ofiary wyciągnięta z wody, jeszcze jedno szarpnięcie i legnie w czółnie, ostatnie wysilenie i... część liny wraz z hakiem i rybą — znikają, a ty siedzisz srodze, nie mile rozczarowany. Szczególnie jeden gatunek rekina jest jak psotny djablik i wiele wędek przecina.

Dalej idą tu raki, równie liczne co do postaci i barw, potem gwiazdy morskie, jeże, holothurje, mięczaki i cały legion istot morskich, tajemniczych i zagadkowych, o których później szczegółowiej się rozpiszę. Materjału do pracy nie braknie, a codzienne odkrywanie nowych postaci zachęca do ciągłych poszukiwań.

Od czasu do czasu zwidzam dalsze okolice wyspy, którą podzieliłem na części, by te stopniowo zwidzić i poznać.

To są moje codzienne zatrudnienia w stosunku do muzeum, dla którego podróżuję. Prócz tego zbieram materjały do przyszłych opisów i studjuję dyalekta malajskiego języka, o czem także nieco później obszerniej coś powiem.

W początkach Grudnia 1869 r. z wyspy Upalu i Apia przeniosłem się na wyspę Sawaihi jeszcze należącą do żeglarskich wysp Samoa. Tu doznałem gościnnego przyjęcia u pewnego Europejczyka Niemca, i razem obchodziliśmy o ile można było uroczyście Wigilję i święto Bożego narodzenia przy upale 35° Rem.

Europejczyk ów Niemiec, miał przy sobie żonę. O mało koliber nie wpadł w rozwartą ze zdziwienia moją gębową jamę, gdym usłyszał, że ma tu żonę. Jakto? więc jest tak dzielna niewiasta w kaukazkiem plemieniu, która odważyłaby się dzielić z mężem swoim trudy tak dalekiej i niebezpiecznej podróży, któraby wyrzekając się salonów, strojów i tym podobnych europejskich nawyknień, poświęciła się pędzić tu życie samotne, dzikie i ciche? Naturalna rzecz myślałem, że jest to Niemka lub co najmniej odważna Albionu córa. O cześć narodowi, który tak bohaterskie wyradza istoty! Jakżeś szczęśliwy — zawołałem z zachwytem — a przedstawże mi swe bóstwo. Druh mój uśmiechając się zawołał: Naoschi! (nasi) i za chwilę stanął przedemną kolosalny niby ze spiżu ulany posąg oceańskiej Wenery. Rozczarowanie moje było tak wielkie, że zapominając o zwykłej grzeczności, stałem przez chwilę jak mumja.

Była to kobieta z Samoa, silna jak Diana, a podług tutejszych poglądów piękna. Choć na pozór nie różniła się niczem od dzikich swoich rodaczek, pół naga, była przecież dosyć ucywilizowana, a co najważniejsza, że zna obyczaje angielskie i mówi trochę po angielsku.

Gdy pozostaliśmy sami, zapytałem towarzysza o okoliczności tego związku. Cóż chcesz rzekł: byłem tu samotny i ciężko było mi żyć bez kogoś, coby myślał o gospodarstwie, wygodach, coby uprzyjemnił mi tęsknoty moje.

Postanowiłem więc ożenić się choćby z dziką i radzę ci, abyś podobnie uczynił, a będzie ci lepiej.

Było to jeszcze na Apia, spotkałem ją raz, gdy w ludowej zabawie dokazywała cudów zręczności i przebiegłości w towarzystwie swoich i kilku Europejczyków, którzy jak i kanacy starali się o jej względy, a była ona ze znakomitego rodu, córka wojennego naczelnika obszernego dystryktu.

Zainteresowała mnie bardzo i postanowiłem próbować szczęścia. Pewnego dnia zdybałem ją sam na sam, a byłem już silnym w miejscowem narzeczu. Podchodzę do niej i daję jej kawałek tytoniu do żucia. Ona bierze, uśmiecha się i pięknie dziękuje, a ja zaraz bez korowodów:

„Sula fia oe alu ma la au, a Togolaos, faopea ana akie au?“ (Przyjaciółko, czy masz chęć iść ze mną jakoby żona na Togolaos? Przez Togolaos, rozumieją tutejsi mieszkańcy wszystkie wyspy na północy.)

Dziewczyna niby się zawstydziła, powiedziała, że mi nie wierzy i uciekła. Ja za nią i dogoniwszy, co jest nie łatwo, bo dzicy biegają jak sarny, zacząłem trafiać jej do przekonania, aż mi przyrzekła namyślić się i przyjść kiedy indziej do mnie z odpowiedzią.

Wieczór tego samego dnia o 11ej w nocy, gdym już chrapał, zapukał ktoś do mych drzwi, a otworzywszy ujrzałem Nosi. Powiedziała mi, że jeżeli chcę być dla niej dobrym i nie patrzeć na inne dziewczęta, to będzie mnie kochać i pójdzie zemną wszędzie.

Naturalna rzecz, że przyrzekłem, pocałowałem ją i było po ślubie. W domu miałem prócz miejscowych wiktuałów wino, sardynki i ser, specjały dla tutejszych, i między sobą tylko odprawiliśmy wesele.

Nazajutrz rano goście, którzy mnie nawidzili, z podziwem ujrzeli Nosi gospodarnie krzątającą się koło śniadania.

Jest mi ona dziś już niezbędną i dobrze nam z sobą. Szyje, pierze, prasuje, zna się na kuchni naszej, a oprócz tego strzela jak Tell, pływa jak rekin, jeździ konno i robi wiosłem silnie i zręcznie. Jednem słowem jestem kontent z mojej miedzianej połowicy, bo tutaj nie podobna mi szukać innego szczęścia.

Tak mój przyjacielu, dodał, ożeń się z kranką, a będziesz miał olbrzymią pomoc, a co najważniejsza, ogromny wpływ na krajowców.

Nie komentując tego faktu podziwiam tylko praktyczność i energję Niemca. Może dobrem byłoby to i dla mnie, ale cóż kiedy ciągle dźwięczy mi w uszach piosenka Adama:

„Bo nad wszystkich ziem branki,
Milsze Laszki kochanki.“

Rzeczywiście smutne często jest tu życie dla osamotnionego Europejczyka, nikt go tu nie rozumie i tęsknoty jego pojąć, a tem mniej osłodzić nie zdoła.

Owa piękna, majestatyczna i swobodą oddychająca przyroda, wielka zawsze i wszędzie, zachęca do życia, każe kochać... a tu nie ma przedmiotu, na któryby uczucia podobne przelać można. Zawsze i wszędzie samotny, gdzie się obrócisz, znajdujesz wszystko, tylko nie współczucie, tęsknisz do dzielenia się sercem, a otoczenie twoje cię nie rozumie. Jakże by to pięknie było mieć tu obok siebie piękną młodą Laszkę!

O kirrrriiiik! krzyczy dziwiący się pelanczyk. Jakże piękną byłaby miłość pod palmami tych cudownych krajów, miłość taka mogłaby być tak jasną jak niebo nad Oceanem, tak wielką i spokojną jak ów Ocean przy ciszy. On przynosiłby jej cudnopióre ptaszki, zdobywał wonne kwiaty ze zbrojnych przepaściami urwisk, a ona za to dodawałaby mu siły do walki z życiem, kazałaby mu je cenić i pragnąć go. Jeżeli pozwolę sobie robić czasem przegląd tego rodzaju myśli, to czuję, że w piersi robi się jakoś płaczliwie, uciekam z domu, bojąc się by otaczający mnie dzicy nie poznali słabości we mnie, włóczę się wówczas bez celu po wybrzeżu mojej wyspy, lub puszczach boru, aż jaka dziwna roślina lub robak nie uderzy mych oczu i nie wyrwie z romansowego usposobienia.

Tym podobne myśli chciały mnie trapić

w chwili, gdym przypomniał sobie, że dziś Europa i kraj mój święci Wigilijną gwiazdeczkę, że tam matka moja zapala w tej chwili choinkę dla siostry mojej i o mnie wspomina.

(C. d. n.)

Zarys historji kobiety w Rossji.

Według Szaszkowa skreślił

Dr. Jan Stella Sawicki

(*Ciąg dalszy.*)

I.

Każdy członek dawnej rodziny moskiewskiej był nie jednostką, ale składową częścią tej rodziny, do której należał. Osobistość była zupełnie zatarta przez rodzinę i ród. Odpowiedzialność jak moralna tak też i prawna nosiła charakter rodowy i za czyny jednego odpowiadał ród cały. Do wydania praw przez Aleksieja, żony i dzieci odpowiadały za długi mężów i ojców; dzieciom przestępcy politycznego konfiskowano majątek; przestępców wysyłano do ciężkich robót wraz z ich żonami i dziećmi. Jeżeli dłużnik nie miał środków spłaty długu, to sprzedawano mu żonę i dzieci do ostatniego, póki nie zapłacono całego długu; jeżeli właściciel ziemi zabił włościanina drugiego właściciela, to ten ostatni zabierał z majątku zabójcy najlepszego włościanina z żoną i dziećmi nie pytając ich czy oni chcą tego; gdy niewolnik uciekł sadzano do więzienia krewnych jego. Opat Szapp opowiada, że zaszedłszy do jednego domu w Petersburgu, obaczył tam ojca przykutego łańcuchem do słupa wśród rodziny swojej za to, że syn jego oddany do wojska uciekł bez jego wiedzy; ojciec więc był więźniem, a dzieci były pod strażą i codziennie oczekiwały sądu. W administracyjnej praktyce taki porządek zachował się aż do wstąpienia na tron dzisiejszego cara. Przy nieograniczonej samowoli panującej w społeczności, zbiorowa odpowiedzialność niekiedy dochodziła do strasznych rozmiarów, szczególnie za panowania Iwana Groźnego, który karząc prawdziwych przestępców lub niewinnych, często niszczył cały ich ród bez litości. Zabiwszy na przykład jednego z bojarów (Morozowa), car nie pozwolił zostawić przy życiu ani jednego z jego krewnych, domowych, sług a nawet ani jednej sztuki bydła. „Trzy tysiące sług jego, powiada Petrej, z przyjaciołmi i krewnymi zginęło straszną śmiercią; wszyscy włościanie jego z żonami i dziećmi byli zabici; jego żona brzemienna i jego córki były z początku zhańbione przez katów a potem porąbane na kawałki. W czasie wojny z Batorym podejrzewając kilku bojarów o zdradę, kazał wyciąć ich w pień z całym rodem, z żonami, dziećmi, sługami, włościanami, psami, kotami a nawet z rybą w wodzie.“

Podobnych okropności nie podobna objaśnić szałem tyrana; w nich wyrażała się idea rodowej odpowiedzialności za działania każdego z jej pojedynczych członków. Uciemiężona rodem osobistość człowieka nie miała żadnego znaczenia, a ludzie zupełnie niezależni, nie mający rodziny, byli uważani za nieszczęśliwych i sami siebie uważali za takich. Godność i znaczenie człowieka zawierały się nie w jego zasługach, lecz w stopniu, na którym stał w rodzinie i stopniu, na którym stała rodzina. Dla tego też najcięższa obraza Moskala nie dotyka jego osobistości, ale jego rodu i jego matki.

Ten ucisk jednostki na korzyść rodu charakteryzuje wszystkie inne społeczne stosunki w Moskwie. Według ideału rodzicielskiej opieki utworzyła się społeczność i państwo. Społeczność była zebraniem rodzin lub rodów, a na czele społeczności stał car ojciec, hosudar. Ojcowska władza była prototypem wszelkiej władzy, a rodzina — prototypem państwa.

Przy takim stanie społeczności, kobiety mogły być tylko niewolnicami. Drugim nie mniej ważnym czynnikiem tego poniżenia kobiet, był wpływ bizantyzmu.

II.

Dawne państwo moskiewskie przedstawiało obraz obszernej lecz biednej krainy, zamieszkanej przez lud nawpół dziki. Nie było tam szkół, ani lekarzy, uczonych ni poetów; o sztukach pięknych nie miano pojęcia, swoboda myśli była zbrodnią, a na Europę patrzano jako na kraj heretyków. Za to mnóstwo bożych ludzi, pielgrzymów, wróżbitów przebiegało Moskwę z końca w koniec, a miljony żebraków oblegały klasztory, cerkwie i drzwi każdego zamożnego domu; dźwięk dzwonów we dnie i w nocy, a wszędzie zapach kadzidła. Był to Tybet europejski, dla którego ideałem życia było szukanie zbawienia i w którym pustelnię uważano jako raj ziemski. Lecz ponieważ wszyscy nie mogli zostać mnichami i zamknąć się w klasztorach, każdy więc starał się wprowadzić w swoim domu życie i zwyczaje klasztorne. Modlitwom i pokłonom nie było końca i miary; wszelkie zabawy, śpiewy i tańce były zabronione, a książki nie zawierające w sobie nic religijnego palono na ciele ich autorów. Po zabiciu Dmitra samozwańca, lud rzucił się na muzykantów i śpiewaków przydwornych i pozabijał ich wszystkich. Za panowania pierwszego z Romanowych, ojciec cara patriarcha kazał zebrać wszystkie muzykalne instrumenta w całej Moskwie, przywieść do stolicy i tam spalić je na miejscu, gdzie tracono przestępców. Jednym Niemcom pozwolono zajmować się muzyką i to nie inaczej jak w domu. Car posłał ukazy na wszystkie strony, żeby wszelkie maski i ubiory nadzwyczajne wszędzie spalono lub zniszczono.

Zabraniając wszelkich światowych zabaw, potępiając wszelkie swobodne objawy uczucia, głosząc o potrzebie umartwienia ciała, bizantyński ascetyzm szczególnie zbroił się przeciw naturalnemu pociągowi mężczyzny do kobiety, i nawet małżeństwo uważał jako pewne ustępstwo dla zepsutej ludzkiej natury. Bizantynizm odpychał kobietę jako powód do grzechu, uważał ją za nieczyste stworzenie i zabraniał grzebać nawet na jednym cmętarzu z mężczyznami „Kobieta, mówili uczeni ówcześni, skusiła Adama i była przyczyną pierwszego grzechu. Kobieta wrzuciła Józefa do więzienia, ona radziła Jobowi skończyć życie samobójstwem, kobieta była przyczyną zabójstwa Urjasza i upadku mądrego Dawida i Salomona; kobieta wydarła oczy Samsonowi, chciała zgubić proroka Eljasza i kobieta nareszcie kazała ściąć głowę ś. Janowi. Natura kobiety jest tak zepsuta, że najgorszy mężczyzna jest lepszym od dobrej kobiety, a zła kobieta jest złośliwszą od najjadowitszej gadziny, niebezpieczniejszą od srogiego tygrysa.“ „W porównaniu ze złą żoną szatan jest niewiniątkiem. Pies jest rozumniejszy od baby, bo nie szczeka na swego pana.“

Przy takim poglądzie na kobietę, resztki dawnej jej swobody znikły; pod wpływem pojęć wschodnich zaczęto zamykać kobiety w domach, niepozwalając im nigdzie wychodzić jak tylko do cerkwi i do łaźni. W połowie 16 wieku, według świadectwa Buchaw, bogatsi ludzie nie pokazywali żon swoich i córek nietylko obcym lecz nawet braciom i bliskim krewnym. Dziewczęta i zamężne kobiety były otoczone nieustannie dozorcami i szpiegami. Położenie carycy i córek carskich było także bardzo smutne. „Siostry carskie i córki, powiada Kaszychin, miały osobne pokoje, mieszkały jak pustelnice, nie widząc ludzi i spędzając czas swój na modlitwie i poście. Za mąż ich nie wydawali, bo książęta i bojarowie byli dla nich zbyt niską partją, która by je zhańbiła, a obcy książęta byli heretycy. Nie wiele lepszem było położenie carycy. Tylko w wielkie święta w obec męża przyjmowała u siebie patrjarchę i różnych duchownych i świeckich urzędników, a zresztą była zamkniętą jak wszystkie inne kobiety, otoczona tylko kobiecą posługą. Wyjeżdżała nie inaczej jak w zamkniętej karecie; w cerkwi stała za firanką a dla tego, żeby jej nikt widzieć nie mógł, przy wsiadaniu i wysiadaniu z karety stawiano z obu stron parawany, między któremi caryca przechodziła na swe miejsce. Nawet lekarz nie mógł nigdy widzieć carycy, bo gdy zachorowała to nim wprowadzono lekarza zawieszali okna tak, że nic widzieć nie było można, a gdy potrzeba było wziąć za puls, to obwijano rękę cienką materją, żeby doktor nie dotknął się jej ciała. Jeżeli przypadkiem jaki mężczyzna spotkał carycę, brano go na tortury, żeby przekonać się, czy nie miał jakiego złego zamiaru.“

Zamknięcie kobiet nie dawało im możności kształcić się: głupota ich była niezmierną; żadna z nich czytać ani pisać nie umiała. Wychowanie kobiety zależało na tem, że ją zamykali na mocny zamek i tam karmili dobrze, żeby potłuściała i przez to nabrała tej piękności, która szczególnie podoba się wszystkim niecywilizowanym ludziom. Kobieta więc jadła dobrze, spała wiele, chodziła do łaźni, nie miała ruchu a więc tłuściała i z każdym funtem sadła piękność jej według gustu ówczesnego rosła. Nie była to wprawdzie zdrowa piękność pracowitej włościanki, lecz piękność wykarmionego kapłona. Być chudą, mieć małe nóżki uważało się za największe nieszczęście. Dla nabycia tłuszczu, kobiety leżały cały dzień w łóżku lub spały, lub nareszcie piły wódkę. Kobieta, która nie miała dwiestu funtów wagi, nie mogła być nazwana piękną.

Przy takich pojęciach o kobiecej piękności, przy głupocie kobiet ciągle zamkniętych, nie mogła w Moskwie rozwinąć się romansowa miłość. Miłość Moskali miała jedynie zwierzęcy charakter; dla tego też na kobietę Moskal w wiekach średnich spozierał jak na zabawkę i na przedmiot uprzyjemnienia życia. (C. d. n.)

STUDJA ESTETYCZNE

Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.

(*Ciąg dalszy*).

I.

Sztuka grecka

Najpierw wypada nam mówić o budownictwie, jako o sztuce, której rozwój poprzedza zwykle rozwój innych sztuk. Ono stoi na granicy między pożytecznemi a pięknemi sztukami. Daje

nam obronę przed niepogodą i przed skwarem lub mrozem; jest przeto wielce użytecznym przemysłem, i tylko przemysłem takim jest po dziś dzień u wielu ludów i w wielu krajach.

Sztuką jednak stało się ono już u świtu dziejów. Faraonom Egiptu chodziło o to, by zadziwić potomność ogromem gmachów, które się za ich rozkazem dźwignęły. Wystawili oni tedy istne góry z kamienia lub cegły — po dziś dzień słynne piramidy. Wystawili ostre a smukłe kamienie, które się obeliskami zwały, i pałace ciągnące się milami. Gmachy owe przetrwały wieki, i dziś jeszcze ogromem swoim podziw wędrowca budzą. Gmachy owe jak niekształtne olbrzymy stoją u przedsieni dziejów. Są to praszczury pięknego budownictwa, których twórcy chwalą się wiekom, że zdołali tak olbrzymie ciężary wyrwać z łona ziemi, i spiętrzyć na kształt gmachów.

Greckie budownictwo nigdy nie szczyciło się podobnym bezmiarem, i Grekowi nigdy nie chodziło o to, by góry wznieść i mile niezważonemi głazami zasypać. Wszystkie gmachy greckie są mierne i nawet może małe.

Jednak budowniczy grecki chełpił się bardzo wcześnie wprawą nabytą na Egipskich wzorach. Już Homer chwali pałace z dobrze ociosanego kamienia, choć za jego czasów tylko podwaliny, skarbce i mury obronne z tego stawiano materjału, skoro nawet na Olimpie domy bogów były stawiane z drzewa rąbanego na Idzie lesistej.

Otóż ów dobrze obciosany kamień, bywał ociosanym na sposób praktykowany w gmachach Egiptu. Tylko, że w Egipcie granitu a w Grecji ciosu albo marmuru używano. Otóż każdy cios grecki miał kształt podłużnego równoległoboku. Każdy cios był dwa razy tak długi jak szeroki — a szerokość czyli grubość i wysokość były równe sobie. Chcąc z takich ciosów, zazwyczaj wcale nie wielkich, mur ustawić, ustawiał je Greczyn tak, że każdy cios wyższy na dwu niższych ciężył, połową na jednym a połową na drugim. Taki układ ciosów i dziś jest zwykłym, a można go najlepiej przy kolejowych budowach widzieć.

Gdy tak ciosy układano, sprawiano widzowi rozumową przyjemność. Widział jak mur postawiony, widział, że ustawiony w porządku, i poznawał nawet od pierwszego wejrzenia, w jakim matematycznym stosunku linje pojedyncze do siebie stoją. Były tu dłuższe a krótsze linje, a w dłuższej mogły się równo dwie krótsze pomieścić.

Taki cios był zasadą budownictwa greckiego, które długo rozumowy przeważnie i matematyczny charakter zachowało, ciesząc widza widocznym architektonicznym ładem, i rozmaitością mnogich a łatwo przejrzanych i łatwo zrównanych proporcyj. Budownictwo owo długo pochlebiało widzowi wmawiając w niego wielką bystrość.

Grecy, podobnie jak wszystkie pierwotne narody, czciły bogów na górach, kędy im się zdawało, że są bliżej nieba. Na tych górach istniały miejsca święte, *bomosy* czyli ugajone *temenosy*, które zawczasu murem od reszty świata odgraniczono. Nauczono się mury owe składać z ciosów ładnych lśniącego marmuru, a z czasem pomyślano o tem, by i murowi całemu nadać kształt podobny do kształtu pojedynczego ciosu. Mur układał się w prostokątny podłużny czworobok, którego wysokość i szerokość były równe sobie i którego długość była dwa razy dłuższą od wysokości i szerokości. I ten ładny i łatwo przejrzany mur zwał się celą. Przykrywano go czasem dachem płaskim, pochyłym w kierunku dłuższych boków, a nad krótszemi bokami w płaskie równoramienne trójkąty uciętym. W jednym z krótszych boków roztwierano prostokątne drzwi, których boki dłuższe, pionowe, były z lekka ku sobie pochylone. Przy przeciwległym boku stawiano ołtarz z posągiem boga; i tak powstawał przybytek, do którego tylko ofiarnicy wolny przystęp mieli. Nad wnętrzem celi nie było sufitu. Widać było dachówką nakryty dach tworzący rodzaj ostrołukowego sklepienia, a tam gdzie cela była większych rozmiarów, drewniane pod dachem rusztowanie.

Później pomyślano o tem, by tłum nabożny, który pozostawał na zewnątrz świątyni, miał ochronę przed niepogodą. Na to trzeba było celę chodnikiem krytym otoczyć. Taki chodnik zwał się po grecku *stoą*, a u nas zwie się z łacińska portykiem. Portyk taki był na zewnątrz kolumnadą odgraniczony od świata zewnętrznego. Między kolumnadą i celą stanął sufit kamienny, dach stał się większym aby mógł i portyk zacienić, a trójkątny niski przyczołek przeniósł się z boku celi, do krótszego boku kolumnady. I tak powstał Naos grecki czyli powstała świątynia. Taką świątynię możemy w Atenach, na świętem wzgórzu położonem u stóp wiekopomnej akropoli, oglądać. Jest to najstarsza ze świątyń Ateńskich, i bodaj czy nie najstarsza z dochowanych nam w Europie świątyń, tak zwany Tezejon Ateński.

Cela starannej murarskiej roboty ma trzydzieści stóp długości, piętnaście stóp szerokości i tyleż stóp wysokości. Jest tedy wiele prywatnych nawet salonów większych od tej świątyni. Portyk otaczający celę zachowuje podobne proporcje jak cela i jak każdy cios. Cała świątynia wraz z portykiem ma tedy dwadzieścia i pięć stóp szerokości i pięćdziesiąt stóp długości.

Gdy się tu pojedynczym szczegółom kolumnady przypatrzymy dostrzeżemy, że musimy w portyku prócz ściany celi, kolumnę i sufit rozróżniać. Kolumna każda jest to odosobniona część muru, dźwigającego sufit portyku. Takich kolumn jest w świątyni Tezeusza z każdego krótszego boku po sześć, a z każdego dłuższego po trzynaście. Są to cylindry pionowo na ziemię postawione, grubsze u dołu a węższe u góry. Zwężenie u góry dodaje kolumnom siły, a od zbytecznej krępości broni je ta okoliczność, że wysokość kolumn wynosząca piętnaście stóp, jest sześć razy większą od ich dolnej przeciętnej. U góry posiadają one przyrząd doskonały do dźwigania ciężarów. Jest to głownica. Główną częścią głownicy jest płyta kwadratowa, leżąca na cieńszym końcu cylindra, a podtrzymująca sufit. Między płytą a cylindrem umieszczono wielki pierścień wypukły, który znów sam mniejszym płaskim pierścieniem jakby do cylindra przymocowany. Całość ta jest jakby ręką kolumny, i jakby jej głową. Potężne to narzędzie do dźwigania ciężarów, harmonijny to przechód między jednostką kolumną a podtrzymanym przez nią sufitem.

Aby do reszty skończyć z kolumną powiemy jeszcze, że każda kolumna, choć jest jednostką wybitną i organiczną, składa się z kilku grubych płyt, z których jedna na drugiej spoczywa. Każda z tych płyt znowu jest mniej wyraźną, ale silną jednostką zlewającą się w wyższą jedność kolumny, podobnie jak kolumny zlewają się w wyższą jedność świątyni. Powiemy wreszcie że kolumny owe są żłobkowane. Żłobkowanie zależy na tem że wycięte jest płytko zagłębienie w kierunku pionowym od góry do dołu w cylindrze kolumny. Zagłębienia owe o półkolistej wklęsłej powierzchni stykają się z sobą, tworząc ostre brzegi na powierzchni kolumny.

Na głownicach nie spoczywa jeszcze sufit martwym ciężarem płaskiej powierzchni. Na głownicach spoczywają długie brusy, czyli architrawy. Kształt ich ostrokątny i podłużny. Każdy z nich albo na dwu kolumnach spoczywa, albo na kolumnie i murze celi. Uczepiły się one głównie i celi, jakby silne ramiona budynku. Na nich dopiero spoczywają nowe, cieńsze belki, które poczęści wraz z głównemi belkami kwadraciki w suficie tworzą. Kwadraciki te na których już właściwy sufit spoczywa zowiemy kasetami. Do każdego z nich wprawiano dla ozdoby kamienną albo złotą różę.

Nad kolumnadą dźwiga się na zewnątrz fryz. Fryz ten składa się najpierw z architrawu, ponad który występują końce drugiego lżejszego belkowania, z których każdy dwoma rowkami oznaczony, albo nad kolumną, albo pośrodku dwu kolumn spoczął. Te końce zwano tryglifami, a płaskie kwadratowe przestrzenie między niemi nazwano metopami. U przodu i tyłu świątyni wznosiły się nad fryzem płaskie przyczołki, zwane także atykami, i dokoła gzymsem otoczone.

I oto opisaliśmy w głównym zarysie budowę zupełnej doryckiej świątyni. Znużyliśmy może czytelnika wielką ilością technicznych szczegółów, ale i tak nie jednośmy opuścili, a musieliśmy koniecznie to opisać cośmy opisali chcąc o Doryckim stylu prawić. Nie sama kolumna dorycki gmach znamionuje; on bywa wynikiem ściśle rozumowych kombinacyj budowniczego, i posiada koniecznie wszystkie wymienione przez nas części. Tylko rozmiary jego, tylko stosunki matematycznych części ulegają zmianie rodzącej rozmaitość. I tak Partenon, najokazalsza świątynia Ateńska, w kilkadziesiąt lat po Tezejonie wystawiona, i słynąca jako arcydzieło Helleńskiego budownictwo, podobnie jak Tezejon składa się z celi i kolumnady, i ze wszystkich części kolumnady. Tylko Partenon wcale inne ma rozmiary. Cela ma 120 stóp długości, a sześćdziesiąt stóp szerokości, portyk ma 102 stopy szerokości a aż dwieście cztery stopy długości. Wysokość kolumn wynosi 36, a wysokość gmachu całego 60 stóp. Kolumny stoją u boków krótszych w dwu rzędach po ośm, a u boków dłuższych w jednym rzędzie po siedmnaście. Są tu tedy proporcje odmienne i okazalsze, ale podobne w założeniu.

Kto wstępuje do świątyni doryckiej, ten odnosi wrażenie podobne do tego, jakiego się doznaje gdy się usłyszy jasny wykład trudnej kwestji, gdy się zagadkę rozwiąże, albo gdy się obce przeniknie zamiary. Budowniczy egipski chełpił się wprost i głośno z ogromu dzieł nieforemnych, i widzowi zdaje się że budowniczy ów chciał nim pomiatać. To samochwalstwo Egipcjanina nie koniecznie dla widza miłe. Greczyn wziął się do rzeczy zręcznej. On zgotował dla znawcy przybytek, w którym ten się prędko o własnej przekona bystrości. Kto do doryckiej świątyni wejdzie, ten odrazu zrozumie użytek każdej części gmachu, każdą z łatwością z osobna rozpozna, i każdej stosowność i praktyczność pochwali. Widz przypatrzy się z zadowoleniem ładowi i staranności dzieła, i pochwalając artystę, milcząco przyzna sobie wyższość sądu krytycznego. Choć zwyczajny gość żadnych silniejszych wrażeń w takiej świątyni Tezeusza nie dozna, znawca będzie wracał do niej, aby przy każdych oględzinach odnowić miłe wrażenie podobne do uczucia smakosza, gdy jakiś dziwny

aromat w niesmacznej albo obojętnej dla ogółu potrawie wyszuka. To uczucie zadowolenia z własnego sądu ustępuje jednak coraz bardziej pochwale wyższej dla budowniczego. Czem się znawca lepiej budowie przypatrzy, tem łatwiej przyjdzie do przekonania, że budowniczy spełnił niepospolite dzieło gdy gmach ten obmyślił i wykonał.

Wszystko tu odpowiednie i stosowne, i kto dorycką świątynię zwidzi, ten zrozumie lepiej zdanie przez Ksenofonta Sokratesowi w pamiętniku przypisane. Sokrates zapytany oto co piękne, odpiera że pięknem jest to co odpowiada celowi. Dzban pięknym jest wtedy, gdy dobrze w nim wodę nieść, miecz piękny gdy dobrze tnie, świątynia wreszcie piękną, gdy postawiona na wywyższeniu, tak aby ją można z daleka już powitać, i aby się można z daleka pomodlić do bóstwa zamieszkującego świątynię, i gdy jest otoczona kolumnadą do której mnogi lud schronić się może.

Jeźli Sokrates rzeczywiście takie zdanie wypowiedział, mylił się oczywiście, bo nie odróżniał piękna od użyteczności. Ale świątynia dorycka jest istotnie piękną wedle tej definicji. Choć dziś użyteczną nie jest, podoba się wskutek tego, że wszystko w niej odpowiada celowi, i że każda część jej łatwo przejrzana, poznana, i zrozumiana.

Ale nie na tem jedynie polega wrażenie, któremu umysł odwidzającego ulega. Prócz technicznego zadania, jawi się inne jeszcze, matematyczne, nie mniej zawiłe na pozór, a nie mniej łatwo zrozumiałe. Rozmaite proporcje rozmaitych części świątyni, dają się łatwo porównać z sobą i przejrzeć. Wszystkie proporcje owe bywają podzielne przez jednę liczbę, którą jest w świątyni Tezeusza liczba pięć, a w Partenonie liczba sześć, a że kolumny doryckiej wysokość przewyższa sześćkrotnie jej dolne przecięcie, więc proporcja Partenonu jest o tyle doskonalszą, o ile jest odrazu podaną przez sam kształt najwybitniejszej w świątyni rzeczy: kolumny.

Prócz tego rozmaitość zachodząca między odległościami kolumn od siebie, i w ogóle cała rozmaitość liczb, daje się łatwo wytłumaczyć zasadniczym kształtem ciosu i świątyni. Nakreśl najpierw większy równoległobok, a wpraw potem w sam środek równoległoboku drugi równoległobok, i niech oba mają zupełnie jednakowy kształt, a dostrzeżesz że niepodobna aby linje tworzące obydwa równoległoboki wszędy w jednakowem od siebie zostawały oddaleniu. I to niepodobieństwo jest przyczyną, z której cała rozmaitość proporcyj Partenonu i Tezejonu da się wyprowadzić. Umysł zwidzającego, mimowoli i nieświadomie prawie to zrozumie — a zrozumiawszy, znów najpierw własną bystrością, a potem misternym kunsztem budowniczego się ucieszy.

(C. d. n.)

Witać i żegnać.

Witać i żegnać, to piosnka żywota.
Kochać i tracić co serce wybrało —
Uśmiech wesela, lub łza i tęsknota
Za utraconem, co w mgłach się rozwiało...

Smutne to życie! Kilka chwil spokoju,
Kilka dni jasnych, na różach miłości —
Potem mozolnych wśród ciężkiego znoju.
Gdzie jeden promień szczęścia nie zagości!

Smutne to życie! które nam uplata
Wianek z piołunu, bolesny i gorzki.
Czasem się wplecie jaki kwiat z za świata,
Czarowny, wonny, jak dziecię bez troski.

Smutne to życie! Szczęścia błyskawica
Rozjaśni nagle nieszczęść noc ponurą —
I jak na łodzi hartowna kotwica
Wlewa nadzieję przed grożącą chmurą...

Smutne to życie! Po szczęścia promyku
Głucha, bolesna, noc zmartwień zapada;
Po wydobytym radości wykrzyku
Nieszczęście goni, wołając: „O biada!"

Poznań 28. Sierpnia 1876.

Marja K...r.

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ II.

Wewnątrz.

Szałas, ku któremu Ashley poczołgał się, znajdował się, jak pomieszkanie Grenlandczyka, pod śniegiem. Przypadek więcej aniżeli wyrachowanie nadało mu taki pozór arktyczny. Śnieg zabarykadowawszy wejście do niego, stopniowo wzniósł się po bokach, podczas gdy siły jego mieszkańców coraz bardziej upadały — i doszło do tego, że połączenie ze światem zewnętrznym można było utrzymać tylko przez jedyne wąskie przejście. Ponieważ powietrze dostać się tam nie mogło, więc wewnątrz było duszno; ale być może, iż ciepło wewnątrz panujące było potrzebniejsze dla rozcieńczonej krwi mieszkańców, aniżeli światło i przewiew.

Ogień rozniecony pod drewnianym kominem rzucał błędne światło na ściany. Przy nim można było rozpoznać cztery na ziemi leżące postacie: młodą dziewczynę z dzieckiem mogącem mieć około czterech lat i razem z nią kołdrą otulonem tuż przy ogniu; bliżej ku drzwiom dwóch mężczyzn, osłoniętych z osobna. Można było poczytać ich za umarłych, tak głębokim i spokojnym był ich sen. Być może iż coś podobnego przyszło na myśl Ashleyowi gdy wszedł, ponieważ krótko zatrzymawszy się podszedł nie mówiąc ani słowa, ku młodej dziewczynie i ukląkłszy przed nią dotknął ręką jej twarzy. Chociaż dotknięcie to było bardzo delikatne, dziewczyna jednak przebudziła się. W dotknięciu tem musiał być tajemny magnetyzm, gdyż natychmiast pochwyciła jego rękę i nim jeszcze oczy otworzyła, usta jej wyszeptały wyraz:

— Filip!

— Gracjo!... ts!

Wziął ją za rękę, pocałował i wskazując na innych śpiących, rzekł:

— Mów cicho. Mam ci wiele wiadomości do udzielenia.

Zdawało się że młoda dziewczyna znajduje największe zadowolenie w tem by wzrok jej zawisał na ustach mówiącego.

— Znowu jesteś! rzekła, cicho i słabo uśmiechając się; przytem ze spojrzeniem, które wyraźnie mówiło, że to właśnie jest rzeczą najważniejszą. — Śniłam o tobie Filipie.

— Droga Gracjo! I znowu całował jej ręce. Wysłuchaj mnie, moja jedyna! Znowu tu jestem, ale też znowu ze starą, starą historją... ani śladu ratunku, ani myśleć o pomocy zewnątrz! Przekonałem się Gracjo — dodał tak cichym głosem, iż tylko przez to ucho do którego mówił mógł być usłyszanym — żeśmy mylnie się zapędzili i za daleko w kierunku południowym od zwykłej drogi. Tylko cud, lub nieszczęście podobne naszemu może tu drugie stowarzyszenie sprowadzić. Jesteśmy sami i bez pomocy — w nieznanej okolicy, którą opuścili nawet dzicy ludzie i zwierzęta. Jedyna pomoc na jaką powinnibyśmy liczyć, jest pomoc z wnętrza, z nas samych. A jakiej doniosłości jest ona, dodał, rzucając wzrok na śpiących, to sama wiesz tak dobrze jak ja.

Uścisnęła mu łagodnie rękę, jak gdyby ten wyrzut i jej dotyczył, lecz nic nie powiedziała.

— Jako stowarzyszenie, ciągnął dalej, nie mamy ani siły, ani karności. Od czasu jak umarł twój ojciec, nie mamy przywódcy. Wiem co chcesz powiedzieć, droga Gracjo, dorzucił, jakby odpowiadając na ruch jej ręki, ale nawet gdyby tak było, gdybym był w stanie przewodniczyć im, to oni rad moich nie usłuchają. Być może, iż to lepiej. Jeżeli zostaniemy razem, to zawsze w naszym obozie narażeni będziemy na największe niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo które nam od nas samych zagraża!

Mówiąc to patrzał bardzo serjo na nią; ona jednak zdawała się nie rozumieć słów jego.

— Gracjo, rzekł tonem zwątpienia, zgłodniali ludzie, razem zebrani, zdolni są do wszelkich ofiar, do wszelkich występków, byle podtrzymać nędzne życie, które w takim samym stosunku staje się im drogiem w jakim rzeczywiście na wartości traci... Zapewne czytałaś w książkach... Gracjo! Gracjo! Boże!... co ci jest?

Jeżeli w książkach nie czytała tego co on myślał, to mogła w tej chwili wyczytać to w twarzy, która przez drzwi wejrzała. Twarz ta miała tyle zwierzęcego w swych zabrukanych rysach, iż żadnych więcej nie potrzebowała objaśnień. Na twarzy tej odbiło się straszliwe pragnienie krwi i ogromna chciwość; a jednak twarz ta była jej zimną — była twarzą Dumphyego. Wszakże nawet w chwili niebezpieczeństwa nie straciła Gracja właściwej kobietom bystrości umysłu i daru szybkiego opamiętywania się. Nie wymieniając rzeczywistej przyczyny swego nagłego przerażenia, wsparła głowę na ramieniu Filipa i rzekła cicho:

— Rozumiem.

Gdy znowu podniosła głowę, twarz już znikła.

— Dość tego, rzekł Ashley, niechciałem cię przestraszać, Gracjo; chciałem tylko wskazać czego powinniśmy unikać — do uniknięcia czego jeszcze posiadamy siły. Jedna tylko jest droga ratunku. Ty ją znasz. Wprawdzie jest ona rozpaczliwą ale nie rozpaczliwszą od tego bezczynnego wyczekiwania. Jeszcze raz zapytuję cię, czy chcesz ją ze mną spróbować? Gdym cię zapytywał po raz pierwszy, miałem mniej nadziei aniżeli dziś. Od tego czasu należycie zbadałem miejscowości i rozpoznałem kierunek tych gór. Jest możność — więcej nie mówię.

— Ale moja siostra i brat...

— Dziecko byłoby największą zawadą dla nas, przypuściwszy, że wytrzyma przykre wpływy pogody. Brat twój musi przy niem pozostać; mała istota potrzebować będzie całej ogłędności i siły jaką on jeszcze zachował. Nie, Gracjo, musimy iść sami. Zauważ że nasze uratowanie, jest ich

uratowaniem. Podczas gdy wystarczy im sił aż do czasu gdy będziemy w stanie podać im pomoc, to w próbie udania się z nami siły te z pewnością przepadną. Mógłbym pójść sam, ale najdroższa Gracjo, nie mogę znieść tej myśli by cię tu zostawić.

— Umarłabym, gdybyś mnie opuścił, rzekła stanowczo.

— Wierzę ci, Gracjo, odrzekł również stanowczo.

— Ale czy nie moglibyśmy zaczekać? Pomoc może przyjść każdej chwili, może już jutro.

— Jutrzejszy dzień znajdzie nas słabszymi. Moim i twoim siłom, ani na jeden dzień dłużej ufać nie można.

— A stary... doktor?

— Temu wkrótce żadna pomoc nie będzie potrzebną, rzekł smutno młody człowiek. Ts! porusza się!

Jedna z osłoniętych postaci obróciła się. Filip poszedł do ognia, dorzucił świeże polano drzewa i poruszył węgle. Płomień oświecił twarz starego człowieka, którego oczy w gorączkowem osłupieniu były w niego utkwione.

— Co tam robisz z ogniem? Zapytał ostro, z nieco cudzoziemskim akcentem.

— Poprawiam go.

— Zostaw to.

Filip w milczeniu odwrócił się.

— Chodź tu, rzekł stary.

Filip przybliżył się.

— Nie potrzebując nic mówić, ciągnął stary po chwili, podczas której badawczo wpatrywał się w twarz Filipa, czytam twe poselstwo w twej twarzy... stara historja!... Znam ją na pamięć.

— Czy tak? zapytał Filip.

— Tak, odrzekł stary ponuro.

Filip znowu się odwrócił.

— Puszkę i papiery zakopałeś? zapytał stary.

— Zakopałem.

— Pod śniegiem, w ziemi?

— Tak jest.

— Starannie?

— Starannie.

— Jakże naznaczyłeś miejsce?

— Kupą kamieni.

— A kartka?... po niemiecku i po francusku?

— Przymocowałem ją jak mogłem.

— Dobrze.

Drwiący wyraz wybitniej wystąpił na twarzy Filipa, gdy się znowu odwrócił. Nim jednak doszedł do drzwi, zatrzymał się i wyjmując z kieszeni zwiędły kwiatek z kilku wyschłemi liśćmi, podał go staremu, mówiąc:

— Znalazłem duplikat rośliny, której szukałeś.

Stary wsparł się, powstrzymując oddech ze wzruszenia, i podniósłszy się na łokciu, pochwycił roślinę i pilnie począł oglądać.

— Taka sama, rzekł, odetchnąwszy z zadowoleniem; a mówisz, że nic nowego nie przyniosłeś!

— Czy mogę spytać co ta roślina znaczy? zapytał Filip z lekkim uśmiechem.

— Znaczy, że mam słuszność i że Linneusz, Darwin i Eschenholz mylą się. Znaczy odkrycie. Znaczy że roślina, którą nazywają kwiatem alpejskim, nie jest takim, lecz stanowi nową s p e c i e s.

— To ważny fakt dla zgłodniałych, rzekł Filip cierpko.

— Znaczy nawet więcej, ciągnął doktor dalej, nie zwracając uwagi na słowa Filipa: znaczy, że nie w śnieżnej strefie rozwija się. Znaczy, że powstaje dopiero w strefie ciepłej i słońcem ożywianej. Znaczy, że choćbyś jej nie pielęgnował, to przy takich warunkach ona spełniłaby swój cel. Znaczy, że za dwa miesiące tam, gdzieś ją znalazł, trawa rosnąć będzie — nawet tu, gdzie teraz leżymy. Jesteśmy poniżej linji wiecznego śniegu.

— Za dwa miesiące! zawołała młoda dziewczyna, załamując ręce.

— Za dwa miesiące, rzekł cierpko młody człowiek. Za dwa miesiące albo będziemy daleko ztąd, albo pomrzemy.

— Prawdopodobnie! odrzekł stary nieczule; ale jeżeli spełnisz moje zlecenia co do papierów i zbiorów, to w swoim czasie one odnajdą się i zostaną ocenione.

Ashley odwrócił się z niecierpliwością, a stary, zmęczony, znowu się położył. Pod pretekstem popieszczenia dziecka, Ashley podszedł ku Gracji, powiedział kilka słów prędko i cicho i znikł za drzwiami. Gdy odszedł, stary znowu podniósł głowę i słabym głosem zawołał:

— Gracjo!

— Jestem doktorze.

— Przybliż się.

Wstała i podeszła ku niemu.

— Czego on tam przebierał w ogniu? zapytał niedowierzająco doktor Devarges.

— Nie wiem.

— Mówisz mu wszystko... czyś i to powiedziała?

— Nie, panie.

Devarges wpatrzył się w nich, jak gdyby chciał przeniknąć najskrytsze jej myśli, a następnie odzyskawszy zaufanie, powiedział:

— Wyjmij to z ognia i ostudź w śniegu.

Młoda dziewczyna odgarnęła węgle dopalającego się ognia i ujrzała pod popiołem przedmiot podobny do kamienia wielkości kurzego jaja, który iskrzył się i pryskał. Za pomocą dwóch na pół uwęglonych kijów wyjęła go, rzuciła w śnieg przy drzwiach i powróciła do starego.

— Gracjo!

— Jestem, panie.

— Chcesz odejść?

Gracja nie odpowiadała.

— Nie kłam. Podsłuchałem was. Być może iż jestto najlepsze ze wszystkiego co można zrobić; ale czy jest, czy nie, ty pójdziesz z nim, rozumie się... Gracjo! jak dalece znasz tego człowieka?

Ani zetknięcie się w codziennem poufnem obejściu, ani równość cierpień, ani obecność bliskiej śmierci nie zdołały stłumić w Gracji kobiecości. Podniosła ona bez wahania rękawicę i rozpoczęła słabą walkę z człowiekiem konającym.

— Znam go tyle odrzekła, co my wszyscy, znam jako prawdziwego przyjaciela, jako człowieka, którego odwadze, rozsądkowi i wytrwałości tyle zawdzięczamy. A przytem jest on tak bezkorzystny...

— Hm! Cóż jeszcze?

— Nic, chyba tylko to, że był on zawsze szczerym przyjacielem pana i jak sądzę pan byłeś jego przyjacielem. Zresztą pan sam sprowadziłeś go do nas, dodała z przekąsem.

— Tak jest, spotkałem go w Swettwater. Ale co ty wiesz o dawniejszem jego życiu? Co on ci opowiadał?

— Uciekł od złego ojczyma i krewnych, których nienawidził. Poszedł na Zachód by żyć własnowolnie, między Indjanami, albo szukać szczęścia nad Oregonem. Jest bardzo dumny, jak pan wiesz. Tak odróżnia się od nas jak pan — jest gentlemanem. Ma wychowanie.

— A! ludzie tak tu to nazywają, a przytem wszystkiem nie potrafi on odróżnić rośliny od trawy, mruknął Devarges. No! A gdy ty z nim uciekniesz, czy ożeni się z tobą?

Tylko na chwilę zarumieniły się blade lice dziewczyny i zmięszała się; ale już w chwili następnej opamiętała się.

— O, panie! zawołała, jak możesz pan żartować tak okrutnie? Życie mojej drogiej siostry i brata zależy od mego odejścia. On i ja — nas tylko dwoje posiada dostateczne siły do odważenia się na próbę. Ja mogę być mu pomocną, gdyż chociaż nie jestem takiej mocy jak on, za to mniej potrzebuję by siły swoje podtrzymać. Coś mi szepce, że się nam poszczęści; wkrótce powrócimy z pomocą. O, mój panie! dziś nie ma czasu dla żartów; nasze życie, nawet życie pana postawione jest na kartę.

— Moje życie, rzekł stary obojętnie, już przeminęło. Nim wy wrócicie — jeżeli kiedy wrócicie — już mi pomoc wasza nie będzie potrzebną.

Ból jakiś twarz mu wykrzywił. Przez chwilę leżał spokojnie jak gdyby chciał zebrać siły. Jednak gdy znowu się odezwał, głos jego był znacznie słabszy i tylko z wielkiem wysileniem mógł mówić.

— Gracjo, rzekł, chodź tu, bliżej, bliżej — mam ci coś powierzyć.

Gracja stała w milczeniu. W ostatnich kilku minutach starzec począł ją nabawiać strachem, którego sobie wytłumaczyć nie mogła. Spojrzała na spiącego brata.

— On nie przebudzi się, rzekł Devarges, śledząc za jej oczyma. Działanie usypiającego napoju jeszcze się nie skończyło. Daj mi to coś z ognia wyjęła.

— Gracja podała kamień — szaroniebieski żużel. Stary wziął go, obejrzał i rzekł do Gracji:

— Wytrzyj go prędko o twoją kołdrę.

Gracja uczyniła to. Po kilku chwilach wystąpił matowy połysk na potartą stronę.

— Wygląda jak srebro, rzekła Gracja z powątpiewaniem.

— Bo to jest srebro! odrzekł Devarges.

Gracja szybko położyła kamień i cofnęła się nieco.

— Weź to, rzekł stary, to twoje. Przed rokiem znalazłem to w rozpadlinie góry, daleko ztąd, na Zachodzie. Wiem gdzie tego mnóstwo znaleźć można... to majątek... Slyszysz, Gracjo! majątek, ukryty w niebieskawym kamieniu, który wczoraj wieczorem w ogień położyłaś. Mogę ci powiedzieć gdzie znajdziesz takie kamienie i jakim sposobem. Mogę oddać ci je w wyłączne posiadanie — oddać prawo odkrycia. Weź go, on jest twój.

— Nie, nie! rzekła pospiesznie dziewczyna, zatrzymaj go pan; wyzdrowiejesz i będziesz korzystać z niego.

— Nigdy, Gracjo! nawet gdybym miał żyć, nie zrobiłbym z niego żadnego użytku. W mojem życiu posiadałem więcej aniżeli potrzebowałem, a to mię nie uczyniło szczęśliwym. On nie ma dla mnie żadnej wartości — najniepozorniejsze ziele nad nim rosnące, ma jej więcej w moich oczach. Weź go! Dla świata znaczy on wszystko — bogactwo i stanowisko. On ciebie i twego ko-

chanka uczyni dumnymi i niezawisłymi, zawsze będziesz mu pożądaną, jest on właściwą ramą dla twej piękności; będzie podstawą twej cnoty. Weź go — on twój.

— Ależ pan masz krewnych, przyjaciół, rzekła dziewczyna, z przesądną trwogą cofając się od połyskującego kamienia. Są inni, których prawa...

— Nie są większe od twoich, przerwał stary z pośpiechem. Nazwij to wynagrodzeniem, jeśli chcesz. Poczytuj to za przekupstwo, ażeby zobowiązać twego kochanka do dotrzymania przyrzeczenia co do moich rękopisów i zbiorów. Pomyśl sobie, że jest to odwet, że znałem kiedyś pewną dziewczynę, którą podobny podarunek uszczęśliwiłby... Zresztą myśl co ci się podoba, ale weź.

Głos jego zmienił się w ciche szeptanie. Ponury cień zaległ mu na twarzy; z trudnością oddychał. Gracja chciała zbudzić brata, ale powstrzymała się na skinienie ręki doktora. Ten z największem wysileniem podniósł sią na łokciu i wyjmując kopertę z kieszeni podał ją jej.

— Tam, rzekł, znajduje się mapa, opis kopalni i okolicy. To twoje, Gracjo, powiedz że przyjmujesz Gracjo! mów prędko!...

Głowa znowu mu zwisła. Gracja nachyliła się by ją podnieść. Podczas gdy to czyniła, lekki cień zasłonił wejście do chaty. Szybko podniosła oczy i ujrzała twarz Dumphyego.

Teraz nie przestraszyła się; ale idąc za chwilowem natchnieniem, zwróciła sie do doktora i rzekła:

— Przyjmuję.

Wyzywająco spojrzała dokoła; ale twarz już znikła.

— Dziękuję ci, rzekł stary. Usta jego poruszały się, ale nie wydawały głosu. Wzrok zamącił mu się.

— Dobranoc, rzekła Gracja cicho.

Nie odpowiedział. „Spi“, pomyślała młoda dziewczyna, znowu nagłym strachem przyjęta. Szybko wyprostowała się, zwróciła ku swemu bratu i potrząsnęła go. Długi oddech, podobny do westchnienia, był jedyną odpowiedzą. Przez chwilę patrzała dokoła siebie, potem szybko pobiegła ku drzwiom i zawołała:

— Filipie!

Żadnej odpowiedzi. Poczołgała się na zewnątrz przez wąskie przejście. Było zupełnie ciemno i na kilka kroków od chaty nie podobna było nic dostrzedz. Raz jeszcze obejrzała się po za siebie i jakby nagłą trwogą zdjęta, pobiegła.

W tej samej chwili z poza wzgórza wysunęły się dwie postacie i znikły w wejściu do chaty — była to pani Bracket i p. Dumphy. Można było poczytać ich za zwierzęta, tak zwinnie czołgali się, to znowu podskakiwali do góry, to pełzali na czworakach. A spieszno im było... W izbie poczęli rozglądać się przy słabem świetle ognia; potem szperać po kątach, poruszać tlejące węgle i popiół, przetrząsać kołdry i skóry, obwąchiwać każden przedmiot. W końcu zatrzymali się, widocznie niezadowoleni i spojrzeli po sobie.

— Musieli zeżreć, niech ich licho porwie! rzekła pani Brackett cicho.

— Nie widzę nic do zjedzenia, dodał Dumphy.

— Widziałeś jak brała z okna?

— Widziałem...

— I jak skrobała?

— Także.

— Głupiec!... i nie domyślasz się?

— Czego?

— Że to był pieczony ziemniak.

Dumphy oniemiał.

— Dlaczegożby miała skrobać, rzekł po chwili, hm! hm! w ten sposób traci się łupina...

— Już takie mają oni żołądki! odpowiedziała pani Brackett, silnie zakląwszy.

Dumphy nie mógł jeszcze opamiętać się, zrobiwszy tak ważne odkrycie.

— Powiedział, że wie gdzie jest więcej... szeptał prędko.

— Gdzie?

— Nie mogłem dosłyszeć.

— Głupcze! dlaczegoż nie wpadłeś do środka i nie dusiłeś go za gardło dopókiby nie powiedział — szepnęła pani Brackett w przystępie tłumionego gniewu i zawodu. Nie masz nawet tyle odwagi co pchła. Niech no ja podrapię dziewkę!... Ts! co to jest?

— Rusza się, rzekł Dumphy.

W jednej chwili znowu przemienili się w pełzające, ostrożne zwierzęta, tylko o ucieczce myślące. A jednak nie śmieli ruszyć się.

Stary doktor obrócił się na drugą stronę; usta jego poruszały się gorączkowo. W końcu zawołał: „Gracjo!“

Skinąwszy na swego kompana by miał się na baczności, stara kobieta nachyliła się nad leżącym i rzekła:

— Jestem tu, kochany panie.

— Powiedz mu niech nie zapomina. Zmuś go do dotrzymania przyrzeczenia. Spytaj gdzie zakopał.

— Dobrze, panie.

— On ci powie, on wie.

— Dobrze, panie.

— Na szczycie kanonu Monument; o sto stóp od sosny samotnie stojącej, kopaj na dwie stopy głęboko pod powierzchnią.

— Dobrze.

— Wilki tam dogrzebać się nie mogą.

— Dobrze.

— Bo kamienie zabezpieczają od zgłodniałych zwierząt.

— Naturalnie.

— Któreby mogły rozszarpać.

— A tak.

— Zgłodniałe zwierzęta...

— Tak, kochany panie.

Nagle ogień jego błędnych oczy ugasł jak świeca. Usta rozwarły się. Już nie żył. A nad nim radośnie nachyliła się kobieta i mężczyzna — nawzajem ku sobie uśmiechający się.

ROZDZIAŁ III.

Gabryel.

Następnego poranku przekonano się, że towarzystwo zmniejszyło się o pięć osób. Filip Ashley i Gracja Conroy, Piotr Dumphy i pani Brackett znikli. Doktor Paweł Devarges umarł. Śmierć starego człowieka nie wywołała wielkiego wrażenia, ani też żadnego smutku; oddalenie się innych policzono na karb wiadomości, którą otrzymali i w brudnem samolubstwie zachowali dla siebie. Wywołało to wybuch bezsilnego gniewu. Przez pięć minut gniew ten nie znał granic. Życie i własność zbiegłych uznano bezwłocznie za przepadłe. Poczyniono kroki — jak sądzę w liczbie dwudziestu — w kierunku domyślanej ich ucieczki, ale potem wszyscy zaniechali pogoni.

Jedna tylko osoba wiedziała, że Filip i Gracja wynieśli się razem — Gabryel Conroy. Zbudziwszy się wcześnie następnego poranku, znalazł przypięty do swej kołdry papier, z następującemi wyrazami ołówkiem nakreślonemi:

„Niech Bóg ma w swojej opiece brata i siostrę i utrzyma ich dopóki Filip i ja nie powrócimy z pomocą.“

Koło siebie znalazł także Gabryel resztki żywności, które Gracja prawdopodobnie wydzieliła ze swoich szczupłych zapasów i w rodzaju pożegnalnego podarunku pozostawiła. Przyłączył je natychmiast do zapasów wspólnych.

Potem począł pocieszać dziecko. Obok wrodzonego z natury daru, zawsze, w największem nieszczęściu, nietracenia nadziei, posiadał on instyktowe, nie tyle z umysłowego wykształcenia ile z naturalnego usposobienia wynikające współczucie dla dziecięcych smutków i zmartwień. Posiadał wszystkie fizyczne warunki dobrej piastunki, delikatne ruchy, głęboko przenikający głos i łagodność. Podczas podróży, kobiety instyktowo powierzały mu doglądanie swych niemowląt; większa część zmarłych podczas tej podróży dzieci zmarła w jego ręku; we wszystkich rodzajach kłopotów korzystano z jego dobrodusznego charakteru. Nikt nie poczuwał się za to do wdzięczności względem niego; on też, jak sądzę, nic na wdzięczność tych ludzi nie liczył; zawsze ukazywał się takim iż nie podobna było czynić go za nic odpowiedzialnym i sam najzupełniej nie wiedział o swoich zaletach. Jak się często zdarza w podobnych wypadkach, otoczenie jego było usposobione do nie przyznawania wartości zasługom jakie wyświadczał: a nawet każdy sądził, że przewyższa go, gdy się nadarzyła sposobność okazania swoich zdolności.

— Olly! *) rzekł Gabryel, pohuśtawszy poprzednio dziecko, chciałbyś mieć lalkę?

Olly szeroko rostworzyła wygłodzone oczy w pełnem nadziei oczekiwaniu i potakująco skinęła główką.

— Piękną lalkę, z prawdziwą mamą, mówił dalej, która będzie bawić się z tobą jak z grzecznem dzieckiem. Czy nie pomogłabyś ty jej cokolwiek bawić się?

Myśl o takiej wspólnej zabawie spodobała się małej Olly jako nowość.

— No, dobrze, brat Gab **) postara ci się o nią. Ale Gracja musiała oddalić się, ażeby lalkę z mamą przyprowadzić.

Mała Olly nie chciała zrazu zrozumieć tego; lecz w końcu uległa pociągowi nowości. Wszakże zapytała:

— Czy dziecko takie głodne?

— Nie, nie głodne, odrzekł Gabryel przezornie.

— A! zawołała Olly, widocznie uradowana.

Potem, chytry Gabryel zwrócił się do chorej na umyśle pani Dumphy i ucałowawszy kołdrę wyobrażającą dziecko, rzekł:

— Napróżno pani ściskasz tak tę dziecinę. Byłoby lepiej i zdrowiej, gdyby ono znalazło sobie wspólniczkę do zabawy. Ach, mój Boże! popatrz tylko pani jak ono mizernie wygląda. Zmiana może wyjść mu na dobre; daj je pani mojej Olly i niech razem radzą sobie do... do jutra.

„Jutro“ była to ostatnia granica w pojęciach pani Dumphy o przyszłości. Tym sposobem biedna obłąkana kobieta z dziecięciem ulokowana została na miejscu Gracji, a Olly była uszczęśliwiona. Delikatniejsza natura i zdrowsze zostano-

---

*) Skrócone od Olimpia. P. T.

**) Skrócone od Gabryel. P. T.

wienie, aniżeli jakie posiadał Gabryel, przestraszyłyby się podobnie potwornej kombinacji; ale Gabryel miał tylko na myśli to, by ludzie otaczający go czuli się szczęśliwymi i aby usunąć pierwsze trudności, wynikłe z powodu oddalenia się Gracji. Wzruszający to był widok, jak Olly i pani Dumphy odkładały dla lalki najdrobniejsze szczątki jadła; ale jedynym widzem tego był tylko Gabryel, który sam poniekąd uległ złudzeniu.

O południu tegoż samego dnia umarł histeryczny młodzieniec. Gabryel przeniósł się do innej chaty, ażeby podtrzymywać ducha tych, co jeszcze żyli. Ze swoim skarbem nadziei udało mu się to o tyle, że rozwiązał język i rozruszał wyobraźnię opowiadacza historji; ale o godzinie czwartej trup jeszcze nie był pochowany.

Był wieczór; we troje siedzieli przy tlejącem ognisku, gdy w pani Dumphy zaszła szczególna zmiana. Lalka wyśliznęła się jej z rąk i Gabryel zauważył, że oczy nieruchomo w próżnię utkwiła. Przemówił do niej, lecz nie odkrzekła ani słowa, ani się poruszyła. Dotknął jej i przekonał się, że członki miała zimne i zdrętwiałe. Olly poczęła płakać.

To zdało się oddziaływać na nią podbudzająco. Nie zrobiwszy najmniejszego ruchu, rzekła głosem zmienionym i nienaturalnym.

— Słuchajcie!

Olly przerwała łkanie na znak Gabryela.

— Zbliżają się! rzekła pani Dumphy.

— Kto? zapytał Gabryel.

— Zbawcy zbliżają się.

— Gdzie?

— Daleko, daleko ztąd. Właśnie wychodzą. Widzę ich... kilkunastu ludzi z objuczonemi końmi i żywnością. Przywódcą jest Amerykanin, reszta cudzoziemcy... Nadchodzą... ach! ach! tak daleko, daleko jeszcze!

Gabryel utkwił w nią wzrok; nic jednak nie mówił. Po chwili milczenia zaczęła znowu.

— Słońce świeci, ptaszki śpiewają i trawa rośnie, tam gdzie oni jadą; ale tak daleko, tak daleko ztąd jeszcze!

— Czy znasz ich?

— Nie.

— A oni, czy nas znają?

— Nie.

— Po co tu przychodzą i zkąd wiedzą gdzie my się znajdujemy?

— Przywódca ich widział nas.

— Gdzie?

— We śnie.

Gabryel gwiznął cicho i spojrzał na lalkę. Bardzo był on usposobiony do upatrywania w tej obłąkanej kobiecie natury niezwykłej, nawet proroczej; ale jednocześnie egzaltowanie się jej i osoby zupełnie obcej, nie doznającej illuzyj głodem wywoływanych, przechodziło jego wiarę. Wszakże pomimo to wpływ dobrego jego usposobienia i przezorności przemógł w nim i wkrótce znowu zapytał:

— Jaką drogą przybędą?

— Tam, przez śliczną dolinę i szeroką połyskującą rzekę. Potem przeprawią się przez górę i wejdą w inną dolinę, otoczoną stromemi górami nad rzeką, która tak blisko koło nich płynie, iż mogą prawie słyszeć jej szmer. Czy ty jej nie widzisz? Zaraz po tamtej stronie śniegiem okrytego szczytu... zielona dolina; deszcz w niej pada... Patrz!... tam...

Wskazała prosto na północ w kierunku niegościnnego śniegu...

— Czy mogłabyś tam dojść? zapytał praktyczny Gabryel.

— Nie mogę.

— Dla czego?

— Muszę tu czekać na moje dziecko. Oni przyjdą po mnie... Oni mnie tu znajdą...

— Kiedy?

— Jutro.

Ostatnie to było słowo, wymówione przez nią. Wkrótce po północy, gdy Gabryel podszedł ku niej i znowu tak silnie wzrok w nią utkwił, iż podniosła się prawie do połowy, obłąkana kobieta wyciągnęła ku niemu ręce, potem pochyliła się i wyzionęła ducha.

Gabryel położył przy niej lalkę, złożył jej na krzyż ręce i szybko wyszedł z chaty.

Z niewyjaśnionych powodów jednak nie doszedł dalej jak do drzwi. To co tam ujrzał nigdy nie wyszło z ust jego; ale gdy się odwrócił do wnętrza chaty, twarz jego była blada, a wzrok dziki i obłąkany. Jedno tylko miał żądanie — uciekać z tych miejsc zaklętych. Długo stał nieruchomy; potem schwycił za rękę przestraszoną Olly i głośno wezwawszy Boga na pomoc, wybiegł i znikł w ciemnościach. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Powieści historyczne J. J. Kraszewskiego I. „Stara baśń“ powieść w 3 tomach. Nakład spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.*)

Dzieje nasze przedstawiają od samego początku aż do obecnych czasów tyle poetycznych skarbów, że rzeczywiście dziwić się potrzeba, że tak mało znalazło się u nas pisarzy uprawiających tak wdzięczną i pożyteczną rolę powieści historycznych. Wiek XVIII natchnął najwięcej naszych powieściopisów; mamy kilka powieści osnutych na tle wieku XVII i XVI, ale po za te czasy wstecz możemy zaledwie wyliczyć kilka nieudałych prób. Był czas, gdy literaci nasi rozentuzjazmowani powieściami Walter Scotta, chcieli gwałtem dzieje nasze ująć w szereg historycznych powieści, zawiązało się nawet w tym celu kółko literatów, do których należał Zygmunt Krasiński, cóż jednak, kiedy oprócz dobrych chęci żaden z nich nie miał powieściarskiego talentu. Było to w czasie najgorętszej walki romantyków z klasykami. Romantycy wydali kilka powieści historycznych, do których zaliczyć musimy słabą pracę Z. Krasińskiego „Władysław Herman i dwór jego,“ ale jak powiedzieliśmy, nie było między nimi prawdziwego powieściarskiego talentu, zapał wkrótce ostygł i niwa powieści historycznych pozostała na długo odłogiem.

Cała Polska z radośnem zdziwieniem powitała rok temu wiadomość, że niezmordowany nasz Kraszewski podjął się dla warszawskiej spółki księgarskiej napisać szereg powieści z historji polskiej.

Nie długo czekaliśmy na ziszczenie przyrzeczenia: mamy już przed sobą trzytomową powieść pt. „Stara baśń“ będącą niejako wstępem do następnych, a dzienniki warszawskie donoszą już o ukazaniu się z druku drugiej z rzędu pt. „Lubonie.“

A więc o „Starej baśni.“ Sam tytuł już poucza nas, że powieści tej nie można nazwać historyczną w ścisłem tego słowa znaczeniu. Nie jest też nią, a jednak zawiera w sobie bezsprzecznie prawdę dziejową, jak to zaraz wykażemy. Przedmiotem „Starej baśni“ jest znane najmniejszemu dziecku podanie o Popielu Chwoście, którego zjadły myszy, wylęgłe z ciał pomordowanych stryjów. Przypatrzmy się, jak je przedstawił autor w swej powieści.

Słowianie wszyscy, a między nimi i Polanie, był to naród gościnny, spokojny, nie wojowniczy, rządził się gminowładnie, cudzego nie łaknął, zajmował pola obfite, bujne pastwiska, rzeki mieli pełne ryb, dziuple drzew pełne miodu—żyli spokojnie i szczęśliwie. Nie znali innego użytku oręża chyba na polowaniu, starsi rozsądzali ich spory, a gęśli ich opiewały nie mordy i boje, ale spokój i szczęście w zgodzie i miłości.

Takimi poznał ich Konstanty Porfirogenita. Nie mogło to jednak trwać długo. Niemcy, odwieczne wrogi Słowiańszczyzny, zaczęli napierać na najbliższych sąsiadów nad Odrą i Łabą i coraz głębiej posuwali się w ziemie słowiańskie, łącząc się z dzikiemi Kaszuby i Pomorcami i niszcząc, co się dało. Kmieć w swej sadybie wśród lasów położonej nie był już bezpieczny, trzeba się było łączyć w zbrojne hufy i poddać się pod rozkazy ludzi obeznanych z rzemiosłem wojennem. To spowodowało Polan, że sprowadzili sobie wojenny ród Lechów i uczynili ich kneziami, aby ich bronili w czasie wojny. Rozrodzeni Lachowie pobudowali sobie grody, otoczyli się Smerdami i zbrojną czeladzią—i panowali. Było ich kilkunastu, ale po nad wszystkie wyrósł w potęgę Pepełek, przezwany szydersko Chwostem, a Chwościskiem. Okrutny to był pan: swoich rodnych jednych pozabijał, drugich kazał oślepiać, znęcał się nad wolnymi kmieciami i koniecznie chciał ich na sposób niemiecki z wolnych ludzi w niewolniki obrócić. Z Niemcami się parał, bo żonę miał Brunhildę, Niemkinię, poszanowania starych obyczajów nie miał, słowem był to kneź zły i nieludzki. Wolne kmiecie, którzy na to dali mu władzę, aby im w wojnie przewodził, a nie by ich w pokoju ujarzmiał, szemrali głośno, ale mimo to cierpieli, bo cóż mieli robić, nie mieli między sobą jedności, a gród Chwosta był mocny i zbrojnych niewolników w nim mnogo. Starsi smutno wspominali czasy dawnej swobody, słuchali gęślarzy piejących o praojcach i czekali, aż się miara złego przebierze.

Zaślepiony żądzą krwi i trunkiem tyran wkrótce popełnił czyn, który na niego wszystkich kmieci do najżywszego obudził. Przyszli do niego kmiecie ze sprawą. Chwostek przyjął ich grzecznie, powiódł do świetlicy i zaczął gościć. Trunku było poddostatkiem, mocno syconego miodu i chmielnego piwa. Wkrótce kmiecie zachęcani przez tyrana przebrali miarę w napoju i jak to zwykle bywa zaczęli się sprzeczać między sobą. Chwostek śmiejąc się dziko podniecał jednych na drugich i podawać kazał coraz więcej napoju. Od słów przyszło do czynu; kmiecie chwycili za mieczyki i kamienne obuszki i rzucili się na siebie. Pijanych trunkiem i złością kmieci, Chwostek podżegał ciągle zdaleka... I stała się straszna rzecz: cała rzesza walczących zbiła się w jedną kłębiącą się masę, razy leciały na razy, co chwila padały trupy lub ranni, i za chwilę z całej gromady goszczonych kmieci pozostały na zamkowem podwórzu tylko kupy trupów i pijanych rannych. Chwost się śmiał piekielnie — zawołał na służbę. Czeladź obszedłszy żywych i trupów pozrzucała ich do jeziora Lednicy, krwią przesiąkłe podwórze zamiecono, a

Chwost śmiejąc się legł na spoczynek, poprzysięgając, ze się w ten lub podobny sposób wszystkich kmieci śniących o wilczej swobodzie pozbędzie. Skoro wieść o tym czynie gruchnęła po kraju, wszyscy kmiecie uczuli, że trzeba pomyśleć o sobie, inaczej ich wszystkich Pepełek wygubi. Najbliżej grodziska stała chata starego kmiecia Wisza, zamożnego i miłującego nad wszystko dawną swobodę. Wisz usłyszawszy o tem, zaraz wybrał się w drogę. Pojechał do kilku najbliższych chat do Domana, Piastuna zwanego także Piastem i innych, i zaczęli się ze sobą naradzać co robić. Postanowiono, że należy starym obyczajem, wiec zwołać i całą sprawę zostawić rozwadze starszyzny. Rozesłano na wsze strony parobków, z zieloną wicią, aby zwoływali na wiec. Trudno jednak, aby się cała robota ukryła w tajemnicy przed Chwostkiem, który wszędzie miał swoich szpiegów. Pepełek dowiedziawszy się, że Wisz dał pierwszy pochop do wiecu, nasłał nań swych dworaków i pachołków. Wisz widząc, że tu idzie o niego i jego rodzinę, przygotował się do obrony. Niewiastom kazał się ukryć w lasy, służbę uzbroić i porozstawiał w koło ostrokołów, a sam ubrawszy się świątecznie w białe płótno, lamowane czerwoną taśmą, wziąwszy długi, biały kij w rękę, oznakę swej patrjarchalnej władzy, czekał spokojnie najezdników. Gdy przybyli, wyszedł na przeciw nich bez broni pytając czego żądają. „Kneź miłościwy, przysyła nas po ciebie abyśmy cię wiedli na gród. Zdasz sprawę z swych czynów!“ — „Jam już stary, wolnym jestem kmieciem, równym jemu na swojej słobodzie — jeśli on ma sprawę, niech przyjdzie do mnie, bo on młodszy.“ Krew uderzyła do głowy kneziowemu niewolnikowi na tak swobodną mowę — cisnął oszczepem na Wisza. Oszczep utkwił głęboko w piersi starca. Wisz jeszcze miał tyle siły, że chwyciwszy za oszczep, złamał go, ale grot mu pozostał w piersi. Zachwiał się i padł martwy. Purpura krwi zrosiła białe jego szaty. Na widok ojca zabitego, Wiszów syn Ludek i czeladź, rzucili się na ludzi kneziowskich i odparli ich pobiwszy. Staremu sprawiono pogrzeb starożytnym obyczajem, stypę i tryznę, usypano mu mogiłę obok ojców a skrwawioną szatę poniósł Ludek na wiec, który się zbierał na starém uroczysku wśród lasów. (C. d. n.)

Listy ze świata.

I.

(Dokończenie).

Paryż d. 1. Sierpnia 1876.

O formie dramatu Tennysona należy nam także słów parę powiedzieć. Pod tym względem reputacja autora, jako jednego z pierwszorzędnych mistrzów współczesnych, to rzecz już należycie utrwalona, i dramat, o którym mowa, w niczem jej zapewne nie zmieni. Prócz tego Tennyson, wielki model Szekspira postawiwszy sobie przed oczyma, naśladować go o ile mógł, przynajmniej w technicznem obrobieniu. Niestety! Czemuż nie mógł naśladować go we wszystkiem. Autor z góry był pewnym, że go ten boski przewodnik na mylne nie wywiedzie drogi.

Maniera Szekspirowska, widoczna rzeczywiście w przeprowadzeniu wszystkich prawie scen opisywanego dramatu, tych zwłaszcza, które przedstawiając burzliwe, a więc trudne do oddania epizody historji, mogłyby niepomału zakłopotać niedoświadczonego dramaturga. Za wzorem Szekspira, bez względu na klasyczne wymagania, Tennyson nie wywodzi scen swojej sztuki jedna z drugiej, jak to inni czynią pisarze. Jak obrazy latarni czarnoksięskiej, sceny te przesuwają się przed okiem widza wprawdzie chronologicznym porządkiem, lecz wielką nieraz od siebie czasu i miejscowości oddzielone przestrzenią. Ta przedstawia wypadki zaszłe dziś, tamta znów tok rzeczy przynajmniej o kilka tygodni naprzód posuwa. Ta odbywa się w Londynie, tamta na prowinji. Są z nich niektóre pisane prozą, inne białym, inne wreszcie rymowanym wierszem. Rubaszność niektórych orzeczeń i żarcików, zdradza także zapatrywanie się na model Szekspira. Wielki ten mistrz umiał nieraz, mięszając rzeczy szczytne z poziomemi, otrzymywać efekta niesłychanym zadziwiające realizmem. Tennyson stara się o to także. Nie powiemy, by zawsze szczęśliwie. Tak naprzykład Elżbieta wymawiając jednemu z dworaków niedbałość jego w toalecie woła: „Przekleństwo! Opatrzność obdarzyła nas nosem, a buty waszmości cuchną stajnią.“ Któryż z dzisiejszych *à l'eau de rose* pisarzy, pozwoliłby sobie na taki grzeszek przeciwko elegancji? Tennyson popełnia go też z widocznym niesmakiem, powodowany ślepem posłuszeństwem względem swego modelu. Gdybyż chciał słuchać go podobnież i w innych ważniejszych rzeczach. Ba! Nie żądajmy za wiele! Co się widzi, to naśladować łatwo. Trudniej naśladować to, co odczuć potrzeba. Przekopjować Madonnę Rafaela lub Murilla potrafi niejeden malarz. Będzie to na pozór ta sama Matka Boża, błękitno lub różowo odziana, dzieciątko Jezus trzymająca na kolanach, lub unosząca się do góry w wianku aniołów, lecz czyż będzie to Madonna? Niestety! Któż z nas szczytnem jakiegoś mistrza zachwycony arcydziełem, nie porywał za pióro myśląc, że byleby je wiernie naśladował, coś równie pięknego stworzyć potrafi, i któż z nas po pewnym upływie czasu nie postrzegał, iż sklecił tylko mniej więcej podobny skielet, ale bez ducha, gdyż nań piersi jego nie stało. Można to powiedzieć o ostatniej Tennysona pracy. Zewnętrzna jej strona o wiele lepsza od wewnętrznej, i zbawiłaby rzecz całą, gdyby ta zbawioną być mogła. Dramat jego żyłby w przyszłości, gdyby pokrywające go szaty, coś więcej nad martwego pokrywały kościotrupa. Z tem wszystkiem, nie bądźmy nazbyt surowymi! Utwór Tennysona nie dźwignie dramatycznej literatury angielskiej z dzisiejszego jej upadku, nie ochroni Melpomeny ojczystej od zgubnych wpływów cudzoziemszczyzny, i nie wyprze z teatrów londyńskich najazdu błazeństw francuskich. Cóż z tego? Zawsze w nim zacna próba, i dowód poczciwych dążności. Zachęci to może innych, młodszych, zdolniejszych. Genjusz wielki, wywołujący silne przewroty w sztuce, nie jawi się prawie nigdy od razu. Natura, przed wydaniem go na świat, prawie zawsze poprzedza go garstką Janów Chrzcicieli, którzy mu drogę torują. W nich jest spójnia, że tak powiem między wiarą dni przeszłych, a nową wiarą jutra, której on będzie apostołem. Nim więc przyjdzie nowy Szekspir, nową dramatu angielskiego zbudować świątynię, może Tennyson względem niego powyższą odegra rolę. Wzruszeni poczciwym wysiłkiem staruszka poety z serca mu tego życzymy.

Nie oddalimy się nazbyt od poprzedniej kwestji, mówiąc wam o ciekawym i godnym przeczytania artykule E. Onimusa „Psychologja medyczna w dramatach Szekspira,“ który to artykuł *Revue des deux mondes* ogłosiła w zeszycie kwietniowym.

Nowy to, nie wyzyskany dotąd punkt zapatrywania się na tego olbrzyma.

Bucknill i Kellog, doktorowie specjaliści do chorób mózgowych (Anglik jeden, Amerykanin drugi) zwrócili uwagę na szczególną i zadziwiającą trafność spostrzeżeń Szekspira w tej smętnej dziedzinie. Według wyżej wymienionych specjalistów, cała teorja halucynacji, melancholji, mizantropji i warjacji, jest zawartą w odpowiednich monologach Macbetha, Hamleta, Timona Ateńczyka, Jakóba z komedji „Jak się wam podoba,“ Brutusa z tragedji „Juljusz Cezar,“ nakoniec Króla Lira. Specjaliści ci twierdzą, że pomimo niesłychanych postępów, jakie poczyniła wiedza od czasów Szekspira, żaden z dzisiejszych uczonych, powyższej teorji jaśniej i dokładniej, niż on wtedy, sformułować nie potrafi. Tego nie dosyć. Dalsze ustępy w innych utworach tego wszechstronnego genjuszu, zdradzają w nim nie mniej głęboką i zadziwiającą intuicję innych gałęzi medycznej wiedzy. Symptomata „karfologji,“ choroby wynikającej, jak się pokazuje z nadużycia alkoholicznych trunków, coś na kształt *delirium tremens*, wzmiankowane w opisie śmierci „Falstaffa“, i symptomata otrucia, zacytowane w opisie śmierci „Króla Jana“ niemniej uderzają szczególną trafnością spostrzeżeń. Opis trupa Glocestera w dramacie „Henryk VI“ (akt III, scena II) ma być do dziś dnia istotnym wzorem oględzin medyczno prawniczych.

Kiedy się myślą w tamte przeniesie czasy, kiedy się wspomni czem był wiek Szekspira, i czem za życia jego mogła być wiedza, a szczególniej nauka psychologji medycznej, tej córki ostatnich lat kilkudziesięciu, to zaprawdę dochodzi się do dreszczów uwielbienia przed pamięcią tego człowieka, który sam ubogi, aktor wędrowny, mniej zatem posiadający warunków kształcenia się naukowego, niż ktokolwiek bądź ze współczesnych, li potęgą genjuszu swego o trzy prawie wieki postęp całej wyprzedza ludzkości, i w półtrzecia z górą wieku po swej śmierci zmusza specjalistów do hołdu tak absolutnego.

I gdyby te pomysły wykwitły przynajmniej z głowy człowieka pracującego w tym zawodzie, z głowy badacza poszukiwaniom w tym kierunku wyłącznie oddanego, skok podobny naprzód, jakkolwiek zawsze zadziwiający, dałby się jeszcze tłumaczyć. Ale nie! Szekspir nie ma czasu ślęczyć nad wiedzą, nie ma czasu szperać w starych foljałach. Żywot jego, i bez tego dosyć przepełniony, prawie nadludzką uderza działalnością. Twórca i zarazem wykonawca swych arcydzieł, zmuszony dla kawałka chleba, po budach jarmarcznych przed wpół dziką gawiedzią rozsiewać przecudne perły swych uczuć i myśli, o strunę wiedzy ściślej trąca tylko przypadkiem, spiesząc się gdzieindziej. Tego dosyć, by z niej wydobył prawdę wyprzedzającą ludzkość o trzy wieki. A zaprawdę nie masz równości w naturze, która na dwóch krańcach jednej i tej samej człowieczej rodziny, stawia tam Szekspira, a tam Negrów Dahomeju. Artykuł E. Onimus'a wiele ciekawych zawiera szczegółów i na wiele ustępów w arcydziełach mistrza nowe rzuca światło.

Uwaga, iż jednym z przedmiotów z widocznem przez Szekspira traktowanym upodobaniem, była warjacja, uwaga ta, widzi nam się, bardzo jest trafną i detaliczniejsze wywołującą roztrzęsienie.

Rzeczywiście warjacja z różnych wynikająca powodów i rozmaite przybierająca formy, zjawia się w znacznej ilości dramatów angielskiego poety, a zawsze głębokiem okolona współczuciem, i nigdy z wstrętnej nie przedstawiona strony.

Wielki ten umysł litował się nad temi upośledzonemi członkami ludzkiej rodziny, Posiadając w tak wysokim stopniu to, czego im nie staje, umiał straszną ich uczcić niedolę. Cóż szczytniejszego jak te słowa Edgara (Król Lear) o obłąkanym monarsze, gdy ten nie znosząc samotności, błaga go, by był przy nim ustawicznie. „Kto cierpi sam, cierpi więcej, lecz gdy nieszczęśliwy ma towarzyszów niedoli, gdy boleść jego wiąże się z innych boleścią, wtedy dusza jego ulgi spotyka zdroje.“

Trzeba przypomnieć sobie, że za czasów Szekspira biedni obłąkani byli traktowani z niesłychanem okrucieństwem, że uważając ich za opętanych przez djabła, obciążano ich kajdanami i zamykano w klatkach. O kuracji nieszczęśliwych nie myślano. Któż przypomniawszy to sobie, słów powyższych z głębokiem nie wysłucha uwielbieniem? Któż w nich gorącego przeciw takiemu barbarzyństwu nie zrozumie protestu?

Szekspir zatem na tej drodze wyprzedził Pinel'a i rzeczywiście, dzięki jego moralnemu wpływowi, Anglja pierwsza z narodów, pierwsze próby polepszenia losu tych nieszczęśliwych z dumą zapisuje na karcie swych dziejów.

Czemże reszty dopełnimy listu?

Nic komiczniejszego od utyskiwań paryskich literatów nad niedelikatnością zagranicznych kolegów mianowicie londyńskich, wiedeńskich i berlińskich, którzy przyswajają sobie, po prostu kradną treść ich utworów, i przerobiwszy takową po swojemu, pod innym tytułem, jako dzieło oryginalne na miejscowych przedstawiają scenach. Mniej więcej co kilka tygodni, jeden z tych literatów skonstatowawszy niby to rzecz podobną, całą listę takich przekabaconych arcydzieł publicznej przedstawia uwadze. W liku tych ciągłych oskarżeń, są zapewne niektóre uzasadnione, przeważna atoli większość wydaje nam się dziką pretensją. Byleby cośkolwiek w nowonarodzonej sztuce angielskiej lub niemieckiej, siakiem takiem do francuskiej uderzało podobieństwem, tego dosyć aby wo-

łać: *Au voleur!* Należałoby się jednak porozumieć, co jest plagjatem, a co nim nie jest. Serce ludzkie, niwa to zapewne bogata, ale tyle już od wieków do eksploatowania jej stawało żniwiarzy, iż wątpimy, by istniała kędyś jedna jej stopa, niedotknięta sierpem żadnego z tych robotników. Miłość, niewiara małżeńska, zazdrość, chciwość, gniew, pycha, itd. itd. wszystko to są uczucia, nie raz już i nie dwa przez różnych odwzorowywane pisarzy. Odcieniowując z nich jedno, trudno uniknąć zbiegnięcia się w jakimś punkcie z tymi, którzy odcieniowywali je przed nami. Jeśliby dwaj piszący na dwóch przeciwległych krańcach świata, nic nie wiedząc o sobie, jeden i ten sam do obrobienia dla sceny wybrało temat, to w dwóch napisanych przez nich sztukach, można by iść o zakład, że znalazłoby się jakieś podobieństwo epizodów. Pomimo tego żaden z nich nie byłby plagjatorem. Cóż dziwnego bowiem, że jeden i ten sam przedmiot, dwóm traktującym go autorom, miejscami podobne nasunąć może myśli! Wartość artystyczna przytem sztuki nie leży w oderwanych scenach, lecz w analizie charakterów, w indywidualnem ich zakreśleniu, i w przeprowadzeniu ich logicznem. Otóż trzy czwarte oskarżeń wspomnianych francuskich literatów, nie opiera się na niczem więcej, jak na takiem błahem podobieństwie oderwanych ustępów. W trzecim naprzykład akcie którejś tam angielskiej, czy niemieckiej komedji, kochanek przydybany przez męża na schadzce z żoną, dla ocalenia jej honoru, wyskakuje oknem. Cóż zdałoby się naturalniejszego? Odkąd egzystuje świat i niewierne na nim żony, a zatem od dość już dawna, wypadek taki mógł się zdarzyć nie wiem wiele razy. Nie trzeba być nader genjalnym, nader oryginalnym, by wykomponować mniej więcej podobną sytuację i nikomu nie przyjdzie do głowy posądzać o plagjat autora, któryby sytuację taką w swej nowo napisanej umieścił komedji. Nikt się też za to nie skarży, prócz paryskich literatów. Tak wygórowane pojęcie o własności mniej by śmieszyło w tych panach, gdyby na ich sumieniu stokroć gorsze w tymże rodzaju nie ciężyły grzechy. Ale p. Edmund About wydając pod swojem imieniem, jako rzecz oryginalną, dosłownie z włoskiego przetłumaczoną powieść „Tolla“—ale p. de Vilmessant drukując w dodatku do Figara pod fałszywym tytułem „Pamiętników Cagliostro“ i bez wspomnienia o źródle, z których je zaczerpnął, aż trzy całe rozdziały z „Rękopismu znalezionego w Saragosie“ Potockiego, nie błahego naśladownictwa, lecz istotnej literackiej dopuścili się kradzieży. Co nie przeszkadza tym panom wielkich udawać ludzi. Poszukawszy pilnie, może by się jeszcze więcej znalazło tego rodzaju wypadeczków we współczesnej literaturze francuskiej.

Któż nie zna przysłowia o belce i o ździebełku? — Otóż list nasz dobiegł miary. Zgódźcie się sami, iż nie mogliśmy sumiennie przypisywać mu tytułu „Kroniki paryskiej.“ Jeśli nic przeciwko temu mieć nie będziecie, kilka jeszcze następnych, niniejszego pójdą torem.

Wierny wasz sługa

J. S. Chamiec.

Z wycieczki artystycznej

przez

F. K. Martynowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Nie zatrzymując się w żadnej z wiosek przyległych Gniewczynie, stajemy obecnie w Przeworsku, mieście nie dużem i zamieszkanem przeważnie przez Żydów, jak zwykle nasze miasteczka. Fizjognomja tego miasta ma w sobie trochę znamion średniowieczczyzny, ale nie może też być inaczej, bo najpiękniejsze dni jego przypadają właśnie na XIV i XV stulecie. Bez wątpienia też można by wiele szczegółów historycznych przytoczyć z historji Przeworska, ponieważ jednak mamy głównie na celu w miejscach przez nas zwidzanych względy artystyczne i archeologiczne, więc z tej strony jedynie spojrzymy na to miasto.

Zatem pałacowi i kościołowi Bernardynów pierwszeństwo się tutaj należy. Pierwszy wzniesiony w guście włoskich willi, posiada w sobie bardzo liczny zbiór historycznych malowideł z przeszłości, na które składali się zarówno swojscy, jak i obcy artyści. Wprawdzie przegląd prywatnej własności domu książąt Lubomirskich, nie powinien być celem publicznej notatki, ze względu jednak na obraz *Koebera*, nie możemy się powstrzymać się od zacytowania choćby nawet tej jedynie osobliwości.

Treścią tego obrazu, malowanego z polecenia Władysława IV, jest smutna scena dla społeczeństwa polskiego w XVII stuleciu. Bo oto na katafalku spoczęły zwłoki Zygmunta III, którą to właśnie postać nasz artysta uchwycił i przeniósł na płótno. Król zmarły jest tu przybrany pontyfikalnie; więc biała złotogłowa kapa, korona, berło, jabłko i paliusz mówią o dostojeństwie zmarłego, — druga zaś korona leżąca obok niego na wezgłowiu, oświadczy o wielkości władzy i panowania dostojnika. Jest to scena najzupełniej prawdziwa, a autentyczności jej tem bardziej wypada nam zaufać, że współczesna relacja o pogrzebie Zygmunta III, między innemi powiada „Zebrali go (króla) vestitu Regali... koronę kosztowną włożywszy na głowę, sceptrum dawszy mu w rękę prawą a w lewą jabłko.“ I „postawili ciało na Majestacie wywyższonym na wezgłowiach złotogłowych i pod kosztownym baldachimem. Korona, sceptrum i jabłko na wezgłowiach także leżały.“

Tak objaśnia owa relacja pogrzebu obraz królewskiego malarza. Jakkolwiek ten zabytek niepośledią posiada wartość artystyczną, nie chodzi nam jednak tyle o przymioty owe, ile o szczegóły tyczące się królewskiego ubrania. Idzie nam o samą koronę przedewszystkiem. Stanąwszy w takich okolicznościach, że nic prawie nie wiemy o polskich koronach królewskich, gdyż te jeszcze przed ostatecznym naszym upadkiem politycznym zniknęły zupełnie, — tem skwapliwiej wypada nam obejrzeć bodaj ich malowane wyobrażenia.

Inwentarze skarbca koronnego rozpowiadają o koronie szwedzkiej, która Zygmuntowi III prawem dziedzictwa przypadła, że ona składała się z dziesięciu części i była bogato kamieniami sadzona. Toż samo znajdujemy i na jej Koeberowskiem wyobrażeniu. Kosztowne owo insygnium ulubione przez ambitnego Zygmunta, posiadało kształt dosyć baniasty i było znacznie wyższe od korony Chrobrego, znanej nam z Bacciarellego akwareli, robionej dla i z polecenia Stanisława Augusta. Zresztą, ktokolwiek oglądał monety Zygmunta III, ten zna koronę szwedzką, albowiem ów monarcha w niej zawsze wyobrażonym bywa.

Korona, którą widzimy na głowie nieboszczyka króla, jest o tyle ważniejszą, że w XVII stuleciu dostawszy się Polsce, w tymże samym wieku niknie z koronnego skarbca, tak że jej później wcale już nie spotykamy. Mamy tu na myśli koronę moskiewską, która dostaje się Polsce drogą głośnych dziejowych wypadków za Zygmunta III, w czasie domowych zaburzeń w Moskwie. Czytamy w tej sprawie, że na sejmie roku 1633 kanclerz wielki koronny oddał Rzeczypospolitej imieniem królewskiem koronę od lat wielu w gwałtownych potrzebach kraju zastawioną, którą król Zygmunt III, wykupił. Dalej inwentarz skarbca koronnego z roku 1683 opiewa, że „wniósł i złożył JMC. Pan podskarbi wielki koronny (a był nim podówczas Andrzej Morsztyn, starosta tucholski) koronę moskiewską, różnemi wielkimi kamieniami i perłami ozdobioną, z szafirem wielkim na kształt gałki na wierzchu i krzyżykiem djamentowym na niej, od króla ś. p. Władysława IV testamentem Rzeczypospolitej odkazaną i dopiero po śmierci króla IMci Jana Kazimierza na sejmie coronationis anno 1674 oddaną.“

Porównywując teraz powyższe orzeczenie z innemi opisami moskiewskiej korony, znajdującemi się w lustracjach skarbca koronego XVII stulecia, przychodzimy do wniosku, że korona, jaką widzimy na głowie Zykmunta III w obrazie Koebera nie jest inną, nad tę co ją Morsztyn oddaje Rzeczypospolitej w r. 1683; — a więc jest moskiewską. Mamy na poparcie tego twierdzenia inny jeszcze dowód. W zbiorach T. Zielińskiego w Kielcach, znajdował się duży przepyszny portret Władysława IV, który przechodząc różne koleje, był i na krakowskiej wystawie starożytności roku 1872/73, gdzie pan Walery Rzewuski robił z niego fotografię. Owóż portret ten malowany za życia Władysława IV, a podobno nawet dla niego samego, wyobrażał onego monarchę w koronie moskiewskiej, która znowu najzupełniej jest podobną do tej, która w obrazie Koebera spoczywa na głowie Zygmunta III.

Możeśmy się cokolwiek za wiele rozpisali o Koeberowskim obrazie stanowiącym niewątpliwie najważniejszy zabytek ks. Lubomirskich w Przeworsku; — żeby więc wynagrodzić ów przydługi epizod, przemilczamy resztę przedmiotów tego familijnego muzeum, a natomiast zbliżamy się do kościoła Bernardynów przeworskich. Zaczął go budować dla Miechowitów w r. 1394 Jan Tarnowski wojewoda sandomierski, a wnuk jego Rafał Tarnowski ukończył r. 1473.

Bernardyński tedy kościół w Przeworsku złożony z nawy głównej, dwóch bocznych i prezbiterjum, co się połową ośmiokąta zamyka w stronie wielkiego ołtarza, należy do jednego z typów ostrołukowego budownictwa, które się nad Bałtykiem i Wisłą rozwinęło. Wnętrze jego jest ożywione sześciu profilowanemi kolumnami, dźwigającemi arkadowe łuki wiodące do naw bocznych, a sklepienie przybrane lekkiemi żebrami układającemi się w przeróżne kształty gwiaździste. Pomimo, iż zewnętrzna strona tej świątyni gotyckie szczyty zębate z XV stulecia zastąpiła roccocowemi gzymsami, przecież na pierwszy rzut oka uderzy cię swoją właściwością, znamionującą wieki średnie. To też gdybyśmy nawet nie znali daty założenia, już sam charakter murów przenosi nas w czasy XIV i XV stulecia. Względy klimatyczne północnej Europy wywołały potrzebę nietynkowania murów, zwłaszcza wtedy, gdy po ciężkich głazach kamiennych romańskich budowli, cegła zaczęła coraz to więcej zapanowywać w architektonicznym materjale. Jakoż cegły użyte zrazu wyłącznie do wznoszenia ogromnych świątyń i opactw z pierwszej połowy XIII wieku, kiedy to zasady romańskiej sztuki przeradzały się w ostrołukowe motywa, — w XIV i XV stuleciu stanowią jedyny materjał tak do kościelnych jak i świeckich budowli.

Każda więc świątynia, zamek i dom większy podonczas z tego materjału bywały dzwigane. Ponieważ w cegle trudniej przychodzi wywołać artystyczną rozmaitość wielkich murów, tak konieczną w każdym utworze sztuki, w celu więc zyskania tego przymiotu powlekano ją glazurą szklistą, czyli polewą różnokolorową, i z tak zabarwionej cegły układano rozmaite wzory na powierzchniach ścian. Tym sposobem wszelkie

większe pomniki architektoniczne z końca XIII z XIV i XV wieku mają zewnętrzne a niekiedy i wewnętrzne ściany przybrane wzorami układanemi z kolorowych cegieł. Kraków, Wrocław, Toruń, Marjenburg i tyle innych miast dawnej Polski wieleby nam w tym względzie dostarczyły przykładów. Budowle tego rodzaju mają to do siebie, że oprócz wiekowej trwałości zalecają się pewną artystyczną malowniczością, niepodlegającą szkodliwemu działaniu klimatu, czego widzimy jasny dowód w świątyni Przeworska. Jej ściany poczerniały wprawdzie, ale i na tem tle ciemnem wyraźnie się rysują linje splatane pod kątem z niebiesko glazurowanej cegły. Całość jednakże owej świątyni nie wygląda tak pięknie, jak duża jej wieżyca, strzelająca po nad dachów szczyty. Jestto ośmiokątna budowa z profilowanemi z kamienia gzymsami, zakończona sposobem basztowym. Zdawałoby się, że wieża bez okien większych musi nużyć monotonnością, tymczasem tutaj, jakkolwiek ich nie ma, tyle widzimy rozmaitości w liniach, że niepodobna temu pomnikowi robić wyrzutów pod względem artystycznym. Poważne jego mury zostały rozczłonkowane ostrołukowemi niszami, co biegnąc przez całą wysokość wieży, dodają jej wiele nader lekkości artystycznej. Okienka zaś, umieszczone w architrawowej części, poniżej gzymsu, podnoszą estetyczny charakter tego zabytku. Możemy mu tylko zarzucić, co zresztą wcale jego wartości artystycznej nie zmniejsza, że jest bardziej podobny do fortyfikacyjnej baszty średnich stuleci, niż wieżycy, której przypadło świątynię upiększać. (C. d. n.)

POGADANKI.

II.

Autor „Chorób Galicji,“ zaliczył do ran toczących nasze społeczeństwo — loterję. Na oko wydać to się może zbytkiem macierzyńskiej troskliwości z jego strony. Jeżeli dziecię w ogóle jest chore, i potrzebuje radykalnej kuracji, mniejsza o to, że w dodatku do jego cierpień przytłuczono mu jeden paluszek. Antropolog z profesji mógłby nawet wykazać na palcach, że jak do fizycznego swojego ożywienia i podrażnienia człowiek potrzebuje jakiegoś narkotyku, tytoniu, betelu, konopi indyjskich, albo opium, tak i owa nieuchwytna cząstka jego jestestwa, którą nazywamy stroną moralną, potrzebuje pewnych emocyj, pewnych hazardów, a wynikiem tej potrzeby jest stara jak świat skłonność ludzka do gier różnego rodzaju, z pomiędzy których uorganizowana przez państwo loterja jest jeszcze najmniej szkodliwą.

Uwaga ta, wydająca się tutaj paradoksem, zajmuje uczonych na serjo, i szczególnie pierwsza jej część omawianą już była w niejednem dziele nader poważnem. Sądzę, że jeśli panowie uczeni przyjmują alkohol, nikotynę lub morfinę, jako *malum necessarium* pod względem fizycznym, to z czasem dojdą i do tego, że usprawiedliwią wobec etyki i moralne trucizny, bez których zdaje się, „*simia homo*“ istnieć nie może. Wszakże już według największej w statystyce powagi Queteleta, nawet zbrodnie i występki należą do objawów naturalnych, koniecznych, i mających swoje pobudki po za naszem „ja“ — w klimatycznych, ekonomicznych, i innych rozlicznych stosunkach! Wszak są występki, dla których uznano potrzebę osobnej organizacji administracyjno - policyjnej, dowodząc nie bez słuszności, iż ujęte w te karby smutne i wstrętne, stają się mniej zgubnemi! Któż może twierdzić, że loterja nie jest czemś analogicznem z taką, bliżej określić się nie dającą, organizacją występku, — i że jest ona dla ogółu tem, czem dla faworytów Plutusa jest np. Monaco, albo Spaa, albo i bliższy jaki dom gry, w sekrecie tolerowany?

Wszystko to udowodnią z pewnością kiedyś panowie uczeni, ale tymczasem niechaj mi wolno będzie postawić pewnik, że nie należy w zdrowym organizmie wywoływać chorobliwych objawów dla tego, że mniej zdrowe, dokoła niego ulegają im same z siebie. Dla tego miał słuszność autor „Chorób Galicji,“ gorzko wyrzucając *państwu* istnienie loterji, bo w istocie, ze wszystkich cywilizowanych narodów jesteśmy pod względem gier hazardowych prawie narodem wybranym — przyjmowała się u nas od czasu do czasu gra jako *moda* importowana, rujnowała nawet jednostki, ale w rejestrze naszych grzechów pierworodnych nie figuruje ona wcale, nie mamy do niej wrodzonego pochopu, jak go mają inne narody, i obeszlibyśmy się doskonale bez tej *wakcynacji*, jaką jest loterja.

Podnoszę to wszystko i zapisuję tutaj z powodu, że obok wielkiej rządowej choroby loteryjnej odkryłem małą, a nie wiem, czy nie szkodliwszą jeszcze choróbkę, tolerowaną we Lwowie, wbrew istniejącym ustawom, przez miejscowe władze policyjne.

Ktokolwiek zajechał kiedy w interesie do stolicy galicyjskiej, ten z pewnością zmuszony był raz i drugi zajść na wieczerzę do jakiej restauracji, albo na kawę do kawiarni. Otóż — jeżeli nie wieczerzał przypadkiem w restauracji hotelowej, ale w mieście — musiał spostrzedz, że od godziny ósmej wieczorem aż do godziny *X* w nocy, snują się tam indywidua mające wszelkie pozory drobnych handlarzy, krążących z towarami. Jedno, drugie i trzecie, ba czwarte i dziesiąte, pojawia się z koszem pomarańcz, fig, pierników, świec stearynowych, sardynek i innych drobiazgów, którychby nikomu o tej porze kupować się nie śniło. Inne błąkające się postacie tego rodzaju dźwigają skrzynki napełnione najlichszym towarem „galanteryjnym,“ którego sklepy w dzień nikomu ofiarować się nie ważą — pugilaresy, tytonierki, szelki, albumy itp. stanowią przeważnie *fundus instructus* takiego ambulansu. Po rozbratlu omaszczonym kombinacją kilkoletnich smalców, podróżny połyka chciwie haust piwa — w tem trąca go w łokieć taki wędrowny reprezentant stanu kupieckiego, i ofiaruje mu wianek fig albo pudełko sardynek. Niemiec lub Anglik rozbiłby mu głowę kuflem — grzeczny Polak tłumaczy mu się, że w tej chwili towaru tego nie potrzebuje, że figi i sardynki po złym tłuszczu należą do specjałów najmniej wabiących jego podniebienie, że towarzystwo chroniące zwierzęta od udręczenia, wzięłoby go w obronę, gdyby mu kto w tym okresie wytwarzania się kwasów żołądkowych, oktrojował chociażby jedną sardynkę, albo orzech turecki, albo coś podobnego. Wszystko to nie trafia do kamiennego serca, ozdobionego koszem z bakaliami — „*koczeber**)“ wydobywa z kieszeni talję kart i worek z numerami, i proponuje grę, w której za 10 centów można wygrać tyle a tyle pomarańcz, daktylów itd. Ledwieś się pozbył jednego natręta, gdy zjawia się drugi, przerywa ci miłą rozmowę ze znajomym, którego rad spotkałeś i z którym masz niejedno do pomówienia — wsadza ci pod nos swoją pakę i wydobywa z niej lusterko, szczotkę do włosów itp. i z wielką swadą zachwalając każdy z tych towarów, potrząsa workiem z numerami, rozkłada karty — nie da się zrazić najwymowniejszą opozycją z twojej strony, a jeżeli ci nie wydrze kilkadziesiąt centów, to przynajmniej popsuje ci humor na cały wieczór i nie da ci użyć swobodnie tej najprzyjemniejszej może ze wszystkich rozrywek — pogadanki z przyjacielem.

W tej roli swojej wszakże taki *koczeber* jest tylko plagą, którą w najgorszym wypadku za pomocą garsonów można wydalić do sieni. Ale kiedy ludzie stateczni idą spać, rozpoczyna się w każdem większem mieście życie nocne, w którem biorą żywy udział źle prowadzeni młodzieńcy, wyrobnicy i rękodzielnicy różnej kategorji, w ogóle ludzie niedbający o jutro z powodu, że albo jeszcze dbać o nie niepotrzebują, albo że go wcale nie mają. Wówczas owa talja kart i ów worek z numerami, w każdej nocnej kawiarni — a jest ich kilkanaście, — zaczynają odgrywać rolę straszniejszą od loterji rządowej. Kawiarnie tego rodzaju zaopatrzone są w magnesy przyciągające klientów już same przez się — jak w starożytności każde źródło, każdy gaj, każdy ruczaj miał swoją nimfę, tak dzisiaj każda spelunka nocna posiada ich kilka. Biada kieszeni tatuńcia, którego synalek około rozpoczęcia roku szkolnego zaglądnie w tę stronę! Nikt nie uwierzy, ile pugilaresów, torebek, pasków itp. jedna taka nimfa potrzebuje codziennie do zupełnego swojego szczęścia, i ile guldenów młodzieniec oczarowany jej uśmiechem przegra do *koczebera*, o którym nie potrzebuję dodawać, że jest w spółce z nimfą, i dzieli się z nią zyskiem. Przykro to dla rodziców nieudałego drągala, ale jeszcze przykrzej dla rodziny biednego zarobnika, który wraz z tamtym stanowi klientelę tych popółnocnych miejsc — rozrywki. Śmiało rzec można, że jeźli lichwa gorzej od wiejskiej, dokucza miejskiej uboższej ludności, to najpotężniejszym jej sprzymierzeńcem jest kawiarnia nocna, a w tej — ów zły duch z numerami i kartami.

Zwracam uwagę na ten niemiły przedmiot, ponieważ wiadomo mi doskonale, że owe wędrujące loterje istnieją jedynie dzięki niewykonywaniu ustaw. Tak zwani „domokrążcy“ — *vulgo koczebery*, mają prawo chodzić z towarami i sprzedawać je, ale upoważnienia do gry loteryjnej mieć nie mogą, bo ta jest monopolem państwa, i kodeks karny okłada przestępcę więzieniem. Czas nakoniec zainterpelować władze policyjne, póki też będą patrzały przez palce na nadużycie, które dzieje się pod ich okiem, i które więcej jeszcze złego wyrządza, niż loterja państwowa?

* * *

Rozpisawszy się tak szeroko o jednej z mniej ponętnych stron naszego miasta, nie mogę bez ujmy lokalno - patrjotycznych moich uczuć, pominąć i upiększeń, których Lwów doznał i doznaje ciągle. Autor poprzedniej pogadanki wspomniał o gmachu gimnazjalnym przy ulicy halickiej, i z wszelką słusznością przyznał mu pod względem architektonicznym niejaką wyższość nad budynkiem, w którym mieści się c. k. krajowa dyrekcja

*) *Koczeber*. Mieszkańcy księstwa *Gottsche*, sławni nicponie, otrzymali kiedyś pierwsi przywilej krążenia w Austrji z koszami pełnemi fruktów południowych. Wiedeńczycy wymawiają wyraz *Gottscher*, tj. mieszkaniec *Gottsche*, tak, że można rozumieć: Goczewer, Koczewer, Koczeber, i co się komu podoba. We Lwowie ustaliła się ta ostatnia nazwa i stała się generyczną dla wszystkich trapi-duchów, o których tu mowa.

skarbu, i który na przestrzeni trzechset sążni wiedeńskich zdobi północnowschodnią stronę głównej naszej przechadzki, tj. wałów hetmańskich. Na wszelki wypadek, postęp jest znaczny, i ulica Halickie-przedmieście dzięki temu gmachowi, brukowi i rozszerzeniu swojemu, już prawie przestała należeć do rzędu licznych w naszem mieście przeszkód komunikacyjnych, zabudowanych samemi koszarowemi frontonami. Nie zapominajmy wszakże o tem, co stanowi główną jej piękność i ozdobę. Oto, przy wejściu w tę ulicę od miasta, oko przechodnia olśnione jest niesłychanem nagromadzeniem żółcizny. Jest to gmach sprawiedliwości, w którym konfiskują dzienniki i zamykają złodziei — okolony on jest lasem kwitnących w tej chwili słoneczników. Miejscowi i turyści stają i pytają się sami siebie siebie ze zdumieniem, co to ma znaczyć? Czyli słoneczniki są symbolem że sprawiedliwość równie jak one, pragnie zwracać oblicze swoje ku słońcu prawdy? Lub też może żółta barwa słoneczników obok czarnego ich jądra, stanowić ma wyraz domorosłej naszej lojalności? Lub nakoniec, czy nie brakło komu gdzie oleju, i czy nie skorzystano z tego kawałka gruntu, ażeby zaradzić brakowi przez chów olejodajnej rośliny? Już to jakikolwiek jest cel tych słoneczników, czy symboliczny, czy demonstracyjny, czy utylitarny, to jedno da się powiedzieć z pewnością, że nie trudnoby było znaleść kwiat piękniejszy i bardziej mogący służyć do ozdoby. Bądź co bądź wszelako, kwiat jest kwiatem, bez względu na swój kolor, i kto wie, czyli z żółtości tej, jak z wewnętrznej części jaja, nie wylęgnie się z czasem ten feniks zmysłu estetycznego, którego pojawienia się tak gorąco tu we Lwowie pragniemy. O Temido, zażółcona przez Florę, rozrumień nam się w jutrzenkę zapowiadającą zejście jednej przynajmniej muzy! Zabierz sobie dyrektorów teatru i wszystkie chórzystki, a daj nam w zamian coś powabniejszego!

Jan Lam.

BIBLIOGRAFJA.

Angielska.

„Pausanias, the Spartan“ by the Late Lord Lytton (Edward Bulwer). Leipzig — Tauchnitz 1876.

Lord Lytton, obecnie wicekról a raczej wicecesarz indyjski, chcąc oddać hołd należny wielkiemu swemu ojcu, wydał ostatnią jego pracę. Wydawca sam zajmuje w świecie literackim niepoślednie miejsce. Prace jego jak: The ordeal of Richard feverel,“ „Last not least,“ „Beauchamp's Carcer“ należą do najznakomitszych utworów powieściowej literatury angielskiej. — E. Bulwer nie dokończył jednak swej powieści. Syn z należnego swemu ojcu uszanowania nie zmienił ani jednego słowa w manuskrypcie; — aby jednak ciekawość czytelnika przy końcu dzieła została zaspokojona, dodał suchy szkic zakończenia powieści, znaleziony pomiędzy papierami po ojcu pozostałemi. Treść do tej powieści wziął Bulwer z opowiadania Plutarcha o życiu Simona, w którem znajdujemy krótką wzmiankę o straszliwej katastrofie, jaką Pauzaniasz został dotknięty. Podajemy dotyczący ustęp z Plutarcha dając tem samem i treść pozostałego fragmentu. Opowiadają, czytamy w Plutarchu, że Pauzaniasz bawiąc w Byzancyum, zapałał grzeszną miłością ku pewnej dziewicy ze znakomitej rodziny. Dziewica nazywała się Kleonika. Rodzice częścią z bojaźni, częścią ulegając konieczności, dopuścili, iż Pauzaniasz uwiódł ich córkę. Zanim jednak Kleonika weszła do komnaty Pauzaniasza, żądała, aby światła pogaszono. — Pauzaniasz tymczasem ulegając wielkiemu znużeniu usnął snem twardym. Kleonika idąc po ciemku, strąciła lampę. Pauzaniasz nagle ze snu zbudzony sądził, że to jaki jego nieprzyjaciel się zbliża — chwyta więc za oręż i zabija dziewicę. W tej chwili znikł spokój z duszy Pauzaniasza a straszne widziadła niepokoiły sny jego. Związkowi (z którymi Pauzaniasz po bitwie pod Plateami w porcie byzantyńskim stał na straży) oburzeni całem tem postępowaniem Pauzaniasza, zprzysięgli się ze Simonem na jego życie i oblegli tegoż mieszkanie. Pauzaniasz zdołał ujść. Widziadło jednak ścigało go dalej — udał się przeto do świątyni w Heraklei gdzie wywołał ducha Kleoniki, który mu przyrzekł, iż w krótce po powrocie do Sparty zostanie od mąk uwolniony, co miało być przepowiednią blizkiej jego śmierci. — Takie jest opowiadanie Plutarcha. Kto zna Bulwera „The last Qays of Pompei,“ temu potrzebujemy tylko powiedzieć, że stosunkowo krótki ten fragment (270 str.) co najmniej stanąć może godnie obok powyższej powieści, co zaś do wyższego poetyckiego nastroju przewyższa jeszcze tamtą. Żałować tylko przychodzi, że znakomity ten utwor nie został wykończony.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— Pani Zimajer wróciwszy z Warszawy, występowała na naszej scenie pierwszy raz w ubiegły poniedziałek w komedji pt. „Majstrowa z Chorążczyzny.“ Teatr był prawie pełny, chociaż ta komedja jest od dawna znaną naszej publiczności Dowodem to dla pani Zimajer, jak pożądanym był jej powrót do Lwowa, a huczne oklaski, któremi ją po każdej scenie obsypywano, niech będą dla artystki zachętą do pozostania stale na naszej scenie.

— „Chorób Galicji“ serja I, tworząca tom oddzielny, znajduje się już w handlu księgarskim i jest do nabycia po cenie 2 zlr. Równocześnie z drugiem wydaniem tomowem, opuścił prasę zeszyt IV pierwszego wydania; zeszyt ten otrzymać mogą wszyscy, posiadający pierwsze trzy zeszyty, których edycja jest już wyczerpaną.

— W Krakowie wyszedł drugi zeszyt „Piosnek i gawęd humorystycznych“ M. Rodocia. Zeszyt trzeci opuści prasę w ciągu września rb.

— Ważny przyczynek historyczny wzbogaci wkrótce okres Xstwa. Warszawskiego, a głównie wojny austrjackiej, „Pamiętnik“ bowiem pułkownika Strzyżowskiego, który w kampanji 1809 r. dowodził oddziałem zajmującym Starą Galicję i Lwów po Karpaty, już oddany do druku.

— Prof. Pawiński ma wkrótce wydać w dwu częściach „Księgi Brzezińskie,“ materjał cenny, szczególnie dla dziejów ziemi Łęczyckiej. Jego też staraniem wyjdą: „Akta i korespondencja kancelarji dyplomatycznej Stefana Batorego.“

— Spółka księgarzy warszawskich wydała sławną „Naukę o ludach czyli etnologję Oskara Peschl'a“ w przekładzie Dr. Wisłockiego.

— P. Michał Hertz wykańcza dla sceny polskiej operę p. t. „Gwarkowie.“

— Nakładem księgarni Kymela w Rydze wyszedł pierwszy tom zbioru aktów starych do historji Inflant, wydawanego przez Bienenmana z Mitawy po niemiecku. Dokumenta te czerpał wydawca głównie z rygskiego archiwum miejskiego. Prof. F. H. Lewestam zwraca uwagę historyków naszych na nietknięte dotąd archiwum w katedrze rygskiej.

— Operetka Suppe'go „Fatinitza“ wystawioną będzie w Paryżu. Jan Strauss w Wiedniu pracuje nad operetką p. t. „Wujaszek w trwodze.“

Nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu wyszedł tom pierwszy pamiętników J. U. Niemcewicza, obejmujący dziennik pobytu jego za granicą od 1831—1841. według autografu w bibliotece Tow. hist. liter. w Paryżu; całość obejmie pięć tomów. Będzie to ważny przyczynek do dziejów literatury naszej epoki.

— W Edynburgu odsłonięto 15 sierpnia bronzowy posąg wielkiego badacza Livingstone'a. Stoi on w East Princes Gardens, tuż koło pomnika Walter Scotta.

— We wiedeńskim teatrze miejskim mają przedstawiać „Athalję“ Racine'a z towarzyszeniem muzyki Mendelsohna.

— I Japończycy mają już pismo humorystyczne! W Yeddo wychodzi od niejakiego czasu illustrowany dzienniczek humorystyczny „Mphye-Ysche,“ który w każdym numerze podaje znakomicie udałe karykatury z życia i obyczajów angielskich.

— Pani Cornu, siostra mleczna i długoletnia przyjaciółka Napoleona IIIgo, umierając, zapisała francuskiej bibliotece narodowej obszerny zbiór własnych korespondencyj z ekscesanem. Pierwszy list datuje się z czasu, gdy książę Ludwik Napoleon liczył zaledwie 10 lat, ostatni napisany na dwa miesiące przed jego śmiercią, z Chislehurst. W testamencie rozporządziła dawczyni, by zbiór publikowany został dopiero w r. 1885.

— Ważną wiadomość dla świata artystycznego podaje dziennik amerykański *Nev Orleans Picayune.* Odkryto świeżo w Nowym Orleanie obraz przedstawiający „Wieczerzę Pańską“ pędzla Rafaela. Mistrz wykonał go na krótki czas przed śmiercią; umarł jak wiadomo 1520. W siedm lat poźniej Hiszpanie złupili Rzym i zabrali do Hiszpanji wiele utworów szkoły włoskiej. Między temi był ten odkryty obraz Rafaela. Nabył go bogaty plantator z Luizjanny, a dziś jest w ręku p. O'Hara. Rząd francuski wyprawił do Orleanu hrabiego de Turenne, aby sprawdził autentyczność utworu i nabył go dla galerji narodowej w Luwrze.

Wystawy.

— Na uczczenie biskupiego jubileuszu Ojca św. przypadającego w przyszłym roku, urządzoną będzie w Watykanie wystawa, której otwarcie nastąpi 21go Maja p. r. Wystawa podzielona na cztery grupy a 12 subkategoryj, zawierać będzie przedmioty, odnoszące się do kultu religji katolickiej.

Podróże.

— L. Say, oficer francuskiej marynarki, złożył niedawno paryskiemu towarzystwu geogr. sprawozdanie z podróży do Ghadames, którą odbył razem z p. Largeau. Rezultaty tej wycieczki, o ile to dotyczy celów praktycznych, redukują się do zapewnień p. Say'a, iż jest zupełnie możliwem skierować handel z Marocco-Tripolis na place algierskie. Sprawozdawca twierdzi, że z pomiędzy ludów północnej Afryki Tuaregowie mają największą przyszłość przed sobą; przeciwnie Arabom wróży on zagubę skutkiem nieproporcjonalnie wzrastającej śmiertelności Pan Say zamierza w tej jesieni udać się do Hangaru, celem dalszego badania Sahary i jej dróg karawanowych.

Wynalazki.

— Zegarmistrz Sauer z Mühlheim nad Renem, wynalazł nowy rodzaj budzików, różniących się tem od obecnie używanych, iż nie sprężyna ale pewne ciężarki powodować będą dzwonienie w oznaczonej godzinie. Korzyść wynalazku ma być taka, iż podczas gdy przy zwykłych dzwonek tak tylko długo dzwoni, jak naciągnięta sprężyna starczy, przy nowych, dzwonić będzie dotąd, dopokąd spiący nie wstanie i nie zdejmie z przyrządu ciężarków wyż wspomnianych.

— Ważny wynalazek miał zrobić, jak donosi *Indjanopoler Journal*, pewien mechanik w Mansfield w Stanie Ohio, nazwiskiem Daniel M. Cook. Utrzymuje on, że tak tanio i w tak wielkiej ilości zdoła wytwarzać elektryczność, że zdoła nią zastąpić parę jako motor i światło gazowe; wynalazca wniósł do urzędu w Washingtonie prośbę o udzielenie patentu.

Szkolnictwo.

— Znany pedagog p. Hippeau przygotował do druku dzieło o wychowaniu publicznem w Skandynawji. Autor pokazuje w niem organizację szkolną tak po wsiach jak po miastach na całym skandynawskim półwyspie; zapuszcza się nawet w te strony, gdzie ludność wiejska zasypana śniegiem, pozbawiona promieni słonecznych, przez pół roku nie wychodzi za próg domu własnego. Na jednem z ostatnich posiedzeń Akademji paryskiej autor czytał ciekawy ustęp z tego dzieła dotyczący Danji. Skutkiem usiłowań prywatnych uorganizowano tam niedawno wyższe szkoły dla włościan, rodzaj Uniwersytetów wiejskich; — takich zakładów istnieje już 70, a uczęszcza do nich 2.500 młodzieży. Szkoły te otwarte są od Października do Kwietnia. Kursa dzienne trwają po 6—7 godzin. Wykład po większej części opowiadany. Proferowie usiłują żywem słowem rozbudzić umysł uczniów, uderzyć ich wyobraźnię. Młodzież, która niedawno pasła trzody lub chodziła za pługiem, słucha pilnie opisu krajów skandynawskich, poznaje bogatą ich przyrodę, podziwia olbrzymie dzieła geniuszu ludzkiego, dokonane tu w ciągu wieków; bada zdarzenia historyczne, zaszłe w Danji, śledzi rozwój przemysłu i rolnictwa. Literatura, muzyka, malarstwo, słowem wszystkie działy nauk i sztuk pięknych, są objęte programem szkolnym. Podobne zakłady, lubo w mniejszej liczbie, istnieją także w Szwecji i Norwegji.

ROZMAITOŚCI.

— Autorka amerykańska, pani Lucy Hooper, opowiada w czasopismie „Appletons Journal,“ niektóre szczegóły ciekawe o Gustawie Doré, znakomitym artyście-rysowniku francuskim. „W ostatnich dniach — opowiada ona — miałam przyjemność zaznajomienia się z pewnym gentlemanem, który był dawniej zażyłym przyjacielem Doré'go. Pewne okoliczności, szczególnie natury politycznej, wpłynęły na zerwanie ich przyjaźni szczerej, nie przeszkadzało to jednak, iż pomieniony gentleman opowiedział mi kilka ciekawych faktów, odnoszących się do początkowego życie artysty. Pomiędzy licznemi relikwjami ich przyjaźni, posiada on odcisk niezwykłej litografji Dorégo, sporządzonej po śmierci samobójcy nieszczęśliwego Gerarda de Nerrol, a wkrótce potem zniszczonej. Poszliśmy obydwaj — opowiadał mi ów gentleman — aby oglądnąć scenę smutnej tej tragedji. Przy ciemnej i wąskiej uliczce stał dom ponury o brudnej i nieprzyjemnej powierzchowności. Krótki dzień zimowy miał się już ku schyłkowi, gdyśmy zdążyli na miejsce. Podnieśliśmy wzrok do góry, ku oknu, w którem znalezionem zostało Gerarda ciało wiszące, gdy w tem coś silnie potrąciło o nogi nasze. Patrzymy na dół, i ku największemu zdziwieniu ujrzeliśmy dużego kruka, który z rozwartym dzióbem, podlatywał ku nam bezustannie. Ptak ten niezwykły figurujący zazwyczaj w opowieściach tuż koło nieboszczyków, wywarł nader silne wrażenie na fantazji Doré'go... W kilka dni przysłał mi probierny odcisk nowej swej kompozycji. W szaro oświetlonem oknie wisiały zwłoki, z przerażającym realizmem oddane... Przez drzwi odchylone wylatywał kruk z dziobem otwartym, jak gdyby chciał zanieść światu wieść smutną o nieszczęściu. Po nad domem unosił się tłum wietrznych jakichś postaci; niby Kurysek wschodnich, czy bogiń mitologicznych, i cudownie pięknych kobiet, rojących się około stołu przy uczcie wspaniałej (była to alegorja przypominająca wizje biednego Nerrola, które go ustawicznie w malignie trapiły); u dołu śmiałemi rzutami ołówka zarysowywały się dokładne kontury miejscowości samej. Cała kompozycja należała bezsprzecznie do najgenjalniejszych (?) pomysłów wielkiego artysty, i strata nieodżałowana, iż nie została w świecie rozpowszechnioną. Policja, nie wiadomo z jakiego powodu, zabroniła reprodukcji i zniszczyła płytę. Cale różnie od większości artystycznego świata, Doré jest doskonałym finansistą, i zapobiegliwy niezmiernie a punktualny w swoich zobowiązaniach. Nie ożenił się nigdy, gdyż jakaś nieszczęsna wcześnie doznana przygoda miłosna, zraziła go na zawsze do ślubów małżeńskich. Młodziutka osoba, przedmiot pierwszej jego miłości gorącej, pochodziła z dobrej rodziny i była przyjaciółką wyborowego towarzystwa a przedniego życia. Doré zaś był w tym czasie zaledwie biednym artystą, szczęśliwym, gdy zaangażowany został do jakiego pisma ilustrowanego, a nadto biednym, by pozyskać sobie względy w oczach tej pani. Również brakowało mu powierzchowności eleganckiej, którą by zajął może królowę swoich myśli, mówiąc nawiasem Paryżankę skończoną. — „Mogęż ja poślubić człowieka, który nawet nie umie naciągnąć rękawiczki!“ — wołała razu pewnego w swojem oburzeniu ta dama wybredna, gdy Doré, w jej obecności nieśmiały i pomięszany, napróżno silił się wcisnąć rękę do nowej więc ciasnej rękawiczki. W ten sposób gardziła artystą i wnet potem poślubiła jakiegoś bogatego Amerykanina, który zazdrosnym będąc i dzikim, tyranizował ją do tego stopnia, że się mięszał nawet w sprawy jej tualety. Między innemi np. nie mógł znieść i nie pozwolił żadną miarą, by młoda żona nosiła krynolinę, dodać należy, wówczas tak modną i niezbędną. Nakoniec w paroksyzmie takiej zazdrości szalonej a bezpodstawnej zupełnie, strzelił do niej z pistoletu mierząc w głowę; szczęściem kula chybiła i przeszyła tylko zwój włosów, zplecionych naokoło głowy, na kształt djademu.—Dziś już Doré jest jednym z najzamożniejszych artystów francuskich. W młodości swojej zwrócił on na siebie uwagę w mniejszych sferach, przez talent swój do mimiki a raczej do zawodu dramatycznego. Czasami wieczorem, gdy się kilku przyjaciół zebrało w skromnej izdebce młodego artysty, zaczynał tenże improwizować, jakąś scenę oryginalną a przejmującą widza do głębi duszy, ukostiumowany kilkoma szalami lub firankami z okien. Pamięć jego na wszystko, co tylko związek jaki ze sztuką miało, była istotnie zadziwiającą. Razu pewnego towarzyszyłem mu do jednej z bibljotek stolicy, gdzie przeglądnąć chciał album katedr sławnych, bo potrzebował wybrać z nich jakiegoś wzoru. Gdy mu żądane dzieło podano, wertował je z wolna i z uwagą, nie zatrzymując się jednak dłużej nad żadną z rycin. Doszedłszy do końca albumu, podniósł się i rzekł do mnie: „Chodźmy, już znalazłem.“ — „Jak to — zawołałem zdziwiony — chyba żartujesz, bo niepodobna nawet, byś mógł zapamiętać którąkolwiek z tych ilustracyj!“ — „Niepodobna? otóż patrz!“ Wziął ołówek, a za chwilę ujrzałem fasadę gotyckiej katedry, podobnej zupełnie w najdrobniejszych szczegółach do pierwowzoru. Przez rok cały Doré odwidzał dzień w dzień jeden ze szpitali paryskich, mianowicie ten oddział, gdzie się odbywały operacje różne. Czynił to jednak nie celem studjowania anatomji lub medycyny, ale dla podpatrzenia fizjognomij ludzkich w pośród największych bolów fizyczuych.“

— Talleyrand posiadał domek letni w pobliżu lasku Bulońskiego. Razu pewnego rozmawiając dłuższy czas z konsulem Bonapartym, opisywał mu szeroko i powabnemi barwami tę posiadłość swoją. — „Masz pan tam przytem i polowanie dobre?“ — zapytał Napoleon. — „O! nie inaczej!“—odparł bez zakrztuszenia były biskup z Autun, który jak wiadomo miał ten zwyczaj nie koniecznie chwalebny, iż zawsze przeciwnie mówił, jak myślał. I w tym wypadku tak było: koło willi jego nie można było ani pomyśleć o jakiemkolwiek polowaniu, i wielkiej rzeczy byłby ten dokazał, ktoby na całem terytorjum znalazł był przynajmniej mizernego królika. — „Więc kiedyś w danej chwili odwidzę pana w porze porannej — ciągnął pierwszy konsul. — Wprawdzie ja nigdy nie myślałem zbytecznie o polowaniu, w kniei na stanowisku nie byłem z flintą ani razu, ale tak z nagónką na odyńca zapolowałbym chętnie.“ Talleyrand skłonił się w milczeniu, i sprawa została tem załatwioną. Napoleon był wielkim wodzem, znakomitym artylerzystą, ale, jak sam to zeznał, o polowaniu nie miał najmniejszego wyobrażenia; flinta w jego ręce, była zawsze dla obecnych nader niebezpieczną zabawką. Gdyby inaczej rzecz się miała, to przecież nie byłby wspomniał o polowaniu na „odyńca“ w pobliżu stolicy. Tymczasem on myślał w dobrej wierze, a Talleyrand pozwolił sobie dość niestosownie zażartować przy tej sposobności z pierwszego dostojnika w kraju. W tym celu rozkazał zakupić w mieście na targowicy starego wieprza czarnego i zapędzić go do parku rozciągającego się za willą, poczem przez kilkanaście dni uganiano po parku z batogami w ręce za biednem zwierzęciem, wprawiając je tym sposobem do szybkiego biegania. Na koniec, pewnego ranka rzeczywiście konsul przybył z adjutantem i wnet urządzono kompletną obławę, według reguł myśliwskich, na czarnego swojaka. Nie długo trwało, gdy spłoszony z legowiska wieprz ukazał się na otwartem miejscu. — „Widzę już tę czarną bestję“ — zawołał Napoleon, i z radością poskoczył ku czarnej „zwierzynie,“ nie zamyślającej bynajmniej o jakiejkolwiek obronie. Oczywiście, że za chwilę wieprz padł ugodzony z bliskiego oddalenia kilką kulami, a Napoleon dumny był niezmiernie, iż położył trupem „odyńca.“ Nie długo jednak trwało to złudzenie przyszłego monarchy. Do trupa zbliżył się adjutant, a ten wiedząc przypadkiem jak dzik wygląda, poznał się od razu na figlu. Przystąpił tedy do Napoleona, i szepnął mu do ucha, że to nie „odyniec“ ale wieprz swojski. Napoleon zirytował się ogromnie, i o mało że nie zerwał zupełnie z Talleyrandem. Atoli rozum wziął górę, i konsul połknął pigułkę, wiedząc, że jeszcze dla planów swoich potrzebować moze kiedyś wytrawnego dyplomaty.

— Jakkolwiek dotychczas nikt jeszcze nie dotarł do szczytu góry Chimborazo, zdaje się to jednak dziś wcale możliwą rzeczą. Gdy Humboldt z przyjacielem swoim Bonpland'em zamierzał w r. 1802gim aż na szczyt tej góry się dostać, uchodzącej w owych czasach za najwyższą na świecie, musiał na wysokości 5909 metrów zatrzymać się i powrócić na dół, gdyż znalazł w drodze skałę nie do przybycia. Również Boussignault, drugi z rzędu próbujacy w r. 1831 dojść do szczytu, posunął się tylko na 6000 metrów. Otóż „Debaty“ paryskie zamieściły niedawno list francuskiego podróżnika Juliusza Remy, który w towarzystwie Anglika Brenchley'a, postanowił z innej strony, jak tamci, dostać się na szczyt Chimboraz'a. Między innemi pisze p. Remy, że dotarł na wysokość 6543 metrów (góra ma być wysoką, podług trygonometrycznego pomiaru Humboldta, 6544 metrów), mimo że formalnie brodził wśród chmur, a wiatry szalały tak gwałtownie, że go w końcu do odwrotu zmusiły. Powietrze wystarczało tam zupełnie jeszcze do oddychania i nie dawały się czuć ani Remy'emu ani towarzyszowi jego, żadne przypadłości przykre, oczekiwane zwykle w tak wysokich regionach atmosfery.

— Czytelnicy pism codziennych spotykający tak często doniesienia o okrucieństwach przez baszybożuków popełnianych, ciekawi będą niezawodnie dowiedzieć się, jaka jest organizacja tego wojska-rabusiów. Otóż „baszybożuki“ dosłownie „ludzie bez głowy“ nie mają w ścisłem tego słowa znaczeniu żadnej wojennej organizacji. Bandy te składają się z najróżnorodniejszych żywiołów, przynęconych żądzą łupu, mianowicie zaś z dzikich Arabów z pustyni, z tchórzliwych lecz przebiegłych Kurdów, z awanturników pochodzących z Syrji i Mezopotamji, z podupadłych handlarzy końskich z Małej Azji, z niechętnych do pracy tureckich chłopów i innej hołoty, która w dobrze uorganizowanych państwach przesiaduje zwykle w kryminalnych więzieniach lub policyjnych aresztach. W czasie buntu w Kurdystanie i innych tureckich prowincjach używali baszowie tych band, najmując je w celu poskromienia buntowników. W ten sposób wyrobił się tłum więcej zbójecki jak żołnierski, sprzedający usługi swoje i krew rządowi na czas wojny nie tyle za żołd mizerny, ile za pozwolenie rabowania ziem nieprzyjacielskich. Bandy te stoją pod dowództwem naczelników, którzy zupełnie tak jak dawni „condotiery“ zawierają z rządem ugodę, wynajmując usługi swoje za pewną umówioną ryczałtową sumę. Skoro układ taki zostanie zawartym, roztacza naczelnik swą chorągiew, pod którą spieszą dawni towarzysze broni i nowozaciężni ochotnicy. Bandy baszybożuków składają się przeważnie z lekkich jeźdźców, lecz istnieją także i piesze oddziały. Jeźdźcy uzbrojeni są w lance, pałasze, po kilka po większej części starych pistoletów, jatagany i kindżały. Lanca jest zazwyczaj z bambusu lub lekkiego drzewa, długa na 8 do 10 stóp. Baszybożuki umieją robić tą bronią nader zręcznie, używając jej zazwyczaj podczas udanej ucieczki. Przypuszczając ścigającego jak najbliżej, wykonują nagle pchnięcie w tył, które rzadko chybia celu. Podczas wojny krymskiej używała Porta również baszybożuków, którzy wtedy już wsławili się dzikością swą i okrucieństwem. Naczelnym ich dowódcą był wtedy węgierski jenerał Kmethy.

— Sławny spekulant pruski Stroussberg, niegdyś milionerissimus, pan zamków, pałaców i licznych włości, dziś więzień w Moskwie i stojący pod oskarżeniem popełnionych szalbierstw, pracuje nad pamiętnikami swego żywota. Dzienniki ogłaszają wyjątki z pierwszej części tych pamiętników, które niezawodnie będą bardzo ciekawe, a jeżeli Stroussberg będzie pisał samą tylko prawdę, niezawodnie także pouczające. W urywku ogłoszonym obecnie znać jednak tylko próżność. Stroussberg broni się od zarzutu, jakoby właściwie był synem ubogiego tandeciarza żydka z Poznańskiego i pierwotne swe imię Boruch Herszko zmienił na Bethel Henry. Utrzymuje Stroussberg, że już jego dziad był zamożnym żydem polskim, tz. *Schutzjude*, któremu wolno było posiadać dobra, że synowie jednego z jego dziadów stryjecznych zostali nobilitowani i nazywali się Rumowscy. Kiedy hr. Seweryn Borkowski z Galicji — mówił Stroussberg — dawał sobie pewnemu p. Sileńskiemu (?) układać drzewo genealogiczne, które potrzebne mu było do otrzymania krzyża maltańskiego, to heraldyk ów, p. Sileński, trafił w swych poszukiwaniach na dokumenta stare, które udowadniają, że przodkowie Stroussberga już w r. 1726 byli szlachtą w Polsce (?!).

Treść Nr. 2.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).